

WYDAWCA
MISJONARZ DUCHOWY
W WARSZAWIE

Uniwersytetu Gdańskiego
Biblioteka

cw 9013

Cena zł 20

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 29 maj 1949 r.

Nr 21 (183)

TREŚĆ NUMERU: Co piszą inni. W. Kętrzyński: Podstawy kryzysu; Ks. Z. Krauze: Hymn na Dzień Zwiastowania N. P. Marii; A. Hutnikiewicz: Próba teorii krytyki; T. Chrzanowski: Lamenty ludzi nieprzyzwyczajonych; K. W. Zawodziński: Uczona „książka do czytania”; J. Nowak-Dłużewski – Antologia poezji arianskiej; J. Kierst – Światło na dłoni; Tydzień kulturalny; J. Cocteau – Czy mnie słyszycie? B. Ostromecki: Przez Ciebie jestem; Leszcz. – Film; B. Jędruszek – „Społeczność wiejska”; Czytelnik uważa, że...

Kazimierz Koźniewski

KSIEGA JEGO ROZCZAROWAŃ

Najpienw uwaga jaką winienem czytelnikom „Dziś i Jutro”: wszystkim co poniżej o książce Stefana Kisielewskiego napisałem jest wyrazem mych zupełnie osobistych rozmyślań; w wielu miejscach artykuł mój może być zgodny z opinią redakcji, w innych — najzupełniej rozbieżny.

**

Czytając artykuły Stefana Kisielewskiego zebrane obecnie w tomie p. t. „Polityka i sztuka” stałem, wręcz obsesyjnie, myśląc o Cacie-Mackiewicz, tym świętym publicyście polskim. Nie dla względów stylu pisarskiego: pióro obu publicystów jest raczej odmienne. Może prędzej upodoba mi się, właściwa obu śmiałość myśli, i co istotniejsze, a dla publicysty tak ważne, odwaga nazywania pewnych spraw po imieniu, w której to jednak odwydaje Cat o kilka długości bije Kisielewskiego. Najważniejsze jednak podobieństwo miało inne źródło. Niedługo przed wybuchem wojny Cat-Mackiewicz wydał w „Raju” pekaty tom będący zbiorem jego rozmaitych artykułów, na tematy polityczne i artystyczne, z ostatnich kilku lat. Zbiór ten autor nazwał nader dziwnie: „Książka moich rozczarowań”; przy czym dziwność tytułu polegała na tym, iż właściwie sama książka nie precyzowała dokładnie o jakie rozczarowania chodziło Catowi - Mackiewiczowi. A miał ich przecież w tym drugim dziesięciu lat Niepodległości niemało. Dopiero znajomość całej publicystyki i działalności politycznej Cata, tej niedostatecznie ujawnionej w książce, tłumaczyła tytuł, który bardziej charakteryzował inne perypetie polityczne redaktora „Słowa”, aniżeli akurat zbiór wydanych artykułów. Chodziło tu o rozczarowania Cata do samacji po śmierci Piłsudskiego, rozczarowania jak wiemy zakończone aż Berezą Kartuską. Chodziło o te rozczarowania, jakich doznał Cat w współpracy z młodymi katolikami z grupy „Odrodzenia”, którym w swym „Słowie” ofiarował szerokim gestem autonomizacyjną kolumnę w błogiej nadziei, iż liberalizmem tym przyhodubi ich sobie, a oni tymczasem unazdżili na tej kolumnie kazalnicy dla idei coraz bardziej socjalizujących, by na koniec otrzymany wymówienie zdenerwowanego redaktora pisma bądź co bądź bardzo konserwatywnego, organu

„wileńskich żubrów”, przemaszerować pod wodzą Dembińskiego, Putramenta, Jedrychowskiego już na zdecydowaną lewicę, by zacząć wydawać „Kartę” i „Poprostu”, by zasiąść na ławie oskarżonych za komunizm. Jakże podobne rozczarowanie przeżywał wtedy w Warszawie wie Adam Skwarczyński, którego „Kuznia Młodych”, równie liberalnym gestem powołana do życia, stała się szkołą Kotta, Brandysa, Matuszewskiego, by po kilku latach zostać zamkniętą dla tych samych powodów, dla jakich Cat zerwał umowę z grupą Henryka Dembińskiego.

Oto były rozczarowania Cata. Przy każdej takiej okazji „Słowo” drukowało obszerną odtrutkę Mackiewicz na „jad” szerszony z autonomizacyjnych kolumn. Żaden jednak z tych tak ważnych artykułów nie ukazał się w zbiorze pod tytułem „Książka moich rozczarowań”.

Podobnie wygląda sprawa ze zbiorem artykułów Stefana Kisielewskiego. „Polityka i sztuka” jest również pewnym świadomym, choć właśnie literalnie nie ujawnionym w książce, wyrazem rozczarowania politycznego jakie stało się udziałem Stefana Kisielewskiego. Możemy jednak sądzić o tym nie na podstawie książki, lecz z naszej znajomości całej jego pracy publicystycznej i literackiej. Jestem zdania, iż w tym względzie po równi należy traktować jego artykuły podpisane pełnym nazwiskiem z pierwszych stron „Tygodnika Powszechnego”, jak i felietony popularyzacyjne „Kisielek”.

Chodzi po prostu o to, iż zarówno w świetnych „Sprzysiężeniu” i „Zbrodni w Dzielnicy Północnej” — obu przede wszystkim powieściach politycznych — jak i w licznych, najbardziej upamiętniających się felietonach, Kisielewski był zawsze rzecznikiem światopoglądu nie katolickiego, ale liberalnego, demo-liberalnego, w czym zresztą był jego osobliwy urok i wantość. Ten rys jego światopoglądu cenilem zawsze więcej i nie protestowałem, gdy swego czasu w jednym ze swych felietonów uznał mnie — i miał rację — za zwolennika tego typu przekonań politycznych. Za swój liberalizm otrzymał Kisielewski w pewnej chwili surową pokutę do odprawienia od redaktorów „Tygodnika Powszechnego”; skonsternowany z okazji ukazania się „Sprzysiężenia”, pod względem moralnym powieści absolutnie a-katolickiej, której jednak Kisielewski powróciłszy na stołek nadwornego Stańczyka krakowskiej trybuny jednym słowem się nie wyparł. Przeciwnie — napisał „Zbrodnię w Dzielnicy Północnej” — powieść gdzie swe stanowisko, acz zaszyfrowane w mroku kryminalnej awantury, sprzecyzował i powtórzył nader dokładnie. No, ale że tym razem już nie rozprawiał o prostytutkach ani impotentach więc na „Zbrodnię” mało kto zwrócił uwagę.

Biorąc tedy do ręki „Politykę i sztukę” oczekiwałem — a prawdopodobnie oczekiwałem nie sam jeden tylko — namiętnej obrony liberalizmu. Tymczasem... cóż za roz-

czarowanie!... znalazłem gorącą afirmację światopoglądu zgoła nie liberalnego, gdyż katolickiego.

Posłuchajmy co pisze we wstępie zbioru sam autor:

„...społeczeństwa znalazły się dziś wobec dylematu znalezienia nowych, powszechnych, uniwersalistycznych rozstrzygnięć, obejmujących wszelkie dziedziny życia, pracy i twórczości, rozstrzygnięć ideowych, które nakarmiłyby myśl, uczucie i potrzeby moralne, a jednocześnie wytrzymałyby próbę współczesności, rozstrzygnięć nowoczesnych a zaspakajających nasz kult tradycji i przeszłości, kult ciągłości życia narodów. Gdzie szukać idei, której kryteria zaspokoilyby te tak rozliczne wymagania? Ideą taką jest, moim zdaniem, idea chrześcijańska ujęta najpełniej w formy dogmatyczne, obyczajowe i organizacyjne katolicyzmu. Katolicyzm jest ideą wytrzymałą próbą nowożytności a legitymującą się tradycją dwóch tysięcy lat; katolicyzm posiada koncepcję uniwersalistyczną, obejmującą wszelkie dziedziny życia, od problemów gospodarczych do sztuki i obyczajowości włącznie; katolicyzm godzi indywidualizm, poszanowanie jednostki z dążnością do rozstrzygnięć ogólnych. Kościół katolicki wreszcie jest instytucją, która oparła się groźnym podmuchom wojen i rewolucji”.

Jasno i dobitnie, ale najzupełniej sprzecznie z tym wszystkim, co na pytanie postawione przez autora odpowiadałby wyznawca demo-

liberalnego stylu życia. Taki, może nawet oddawszy Kościołowi zasługi w dziedzinie moralnego oddziaływania na szerokie masy, stanowczo zastrzegłby się przeciw opinii o „poszanowaniu jednostki”. Liberal na pisałby zupełnie inaczej. Kisielewski powraca kilkakrotnie do tego tematu. W pierwszym zaraz artykule „O ideologię polityczną nowoczesnego Polaka” boleje nad rozdarciem psychicznym naszego narodu, który w innych jednostkach umieszcza cnoty rycerskie, rozumiały dla ogółu narodu z innych obdarza chłodnym politycznym rozumem. Dochodzi następnie do konkluzji, iż jedynym światopoglądem który stopić może dwie nasze cechy, jedynym który jest w stanie „upolitycznić rozsądek rycerza wariata” (to moje zdanie!) jest katolicyzm. Ta myśl przewija się w kilku innych artykułach. Przeczytawszy książkę Kisielewskiego od strony pierwszej do 280-ej nie znajdujemy ani jednego zdania czy zwrotu, który by nam mógł nasunąć jakiegokolwiek podejrzenie odnośnie liberalistycznych koncepcji światopoglądu autora, które przecież znamy skądinąd. Gdzież się podział nasz „Kisielek”? Został tylko nader prawowierny świecki katolik, święty ny katolicki publicysta! Gdzie jest nasz Wielki Liberal? — jedni pytają z radością, drudzy ze złością.

Zaiste interesujące — tym więcej iż symptomatyczne. Książkę Kisielewskiego należy chyba wobec tego rozumieć jako wyraz, jako efekt, rozczarowania. Rozczarowania liberała do wyznawanej dotychczas doktryny. Czy aby na pewno?!

„Polityka i sztuka” odznacza się swoistym „kruczkim” redakcyjnym, utrudnia on czytelnikowi zorientowanie się w linii rozwojowej autora. Poszczególne artykuły są ułożone w merytorycznym, a nie w chronologicznym porządku, ponadto daty poszczególnych prac umieszczone są dopiero na końcu książki, a nie zaraz przy artykule. Jest to bardzo sprytnie posunięcie autora, który ma prawo ufać iż znakomitej większości czytelników po prostu nie będzie się chciało przejrzeć dokładnie spisu rzeczy i ustawić artykuły w ich rzeczywistej czasowej kolejności.

Zadałem sobie ten trud. Nie żałuję tego. Opłacił się.

Najwcześniejszym jest artykuł umieszczony w „Polityce i sztuce” dopiero jako czwarty. Data jego: wrzesień 1945 rok. Jest to polem-

Wytyczne

* * *

Wydaje się nam, że trzeba zerwać z postawą obronną i szeroko rozbudowaną terminologią obrony w wypowiedziach katolików. W dniu codziennym stale się słyszy o tym, że katolicy, muszą chronić ludzi od błędu, muszą przechowywać depozyt kulturalny minionych stuleci. Sformułowania te są niewątpliwie słuszne, tym niemniej wydaje nam się o wiele trafniejszym zwrócić uwagę na to, że katolicy winni przede wszystkim zdobywać ludzi dla prawdy. W istocie postawy katolickiej leży nie obrona stanu posiadania, ale ofensywa w celu zdobycia życia dla wiary katolickiej.

Ta ofensywa w jej znaczeniu społecznym wyrażać się musi przede wszystkim w najszerzej pojętej twórczości kulturalnej. Dlatego w sposób całkowicie przemyślany, a nie szablonowy zespół nasz traktuje nagrodę Imienia Włodzimierza Pietrzaka i dlatego dzień jej wręczenia stanowi dla nas moment dojrzałej satysfakcji.

Dm 191052

ka z rozczytawo - powstańcym artykułem Wojciecha Kętrzyńskiego wydrukowanym miesiąc wcześniej w tymże „Tygodniku Powszechnym”. O co chodzi Kisielewskiemu? Artykuł jest absolutnie słuszny (mniejsza o różnicę w ocenie ilościowej sił tych które sprzyjały w Warszawie Powstaniu i tych które były mu nieprzychylnie) i zupełnie trafnie postuluje konieczność jakiejś syntezy między postawą Wielopolskiego a Traugutta. Postuluje „trzeźwość, realizm, powściągliwość, cierpliwość, wytrwałość w pracy, a przede wszystkim elastyczność i dyscyplinę intelektualną, która pozwoli nam stosować nie wyłącznie uczuciową reakcję odruchów, lecz prowadzić prawdziwą, mądrą i świadomą politykę polską”. I kropka — ani słowa więcej. Ani słowa o katolicyzmie czy chrześcijaństwie. To pisał jeszcze Stefan Kisielewski wywodzący swój publicystyczny ród z tej samej redakcji przedwojennej „Polityki”, do jakiej przynależał i Aleksander Bocheński (ten od „Dziejów Głupoty”) i Ksawery Pruszyński — (ten od „Margrabiego Wielopolskiego”). To pisał autor „Sprzysiężenia” i „Zbrodni”. To było we wrześniu 1945 roku.

Miał rok. Wszystkie pozostałe u mieszczono w książce artykuły — w rozdziale „publicystyka polityczno-społeczna” — napisane zostały właśnie w roku 1946, najważniejsz — z nich powstały w letnich i wczesno - jesiennych miesiącach. Gdy dwanaście miesięcy wcześniej Kisielewski mówił o potrzebie syntezy dwóch postaw narodowych — nie precyzował w najmniejszym stopniu ideologii, jaka tą syntezą stać by się mogła. W roku 1946, w przeddzień ukazania się „Sprzysiężenia”, stawia rzecz już zupełnie wyraźnie. Znowu w artykule z okazji drugiej rocznicy Powstania powrócił do swego ulubionego tematu, ale z jakże odmiennym rozwiązaniem! Już znalazł syntezę postawy Traugutta i Wielopolskiego. „Synteza taka — jak sądzę — winna wyjść właśnie z łona obozu katolickiego, cechą bowiem katolicyzmu była zawsze umiejętność łączenia wiary w prawdy niezłomne i absolutne, żarliwość uczuć i bezkompromisowości — z powściągliwością, rozsądkiem, harmonijnością i powagą działania”. I jeszcze raz, tylko mocniej i jaśniej, określa Kościół katolicki jako poszukiwaną przez syntezę w czółowym artykule zbioru, również pisany w lecie 1946, „O ideologię polityczną współczesnego Polaka”. W kilku pozostałych szkicach tej części książki identyczne opinie znajdują swój wyraz, choć już mniej wyraźny.

A równocześnie autor artykułów z pierwszych stron „Tygodnika Powszechnego” ogłosił „Sprzysiężenie” — świetny rezultat demoliberalnego spojrzenia na świat, a równocześnie w cotygodniowych felietonach nie raz, nie dwa, nie trzy obnosił swój liberalizm. I za takiego pisarza, a nie katolickiego w pełnym znaczeniu tego słowa, miała i ma go dotąd opinia tak publiczna jak klerykałna. A może nie warto zwracać uwagi na artykuły — należy się trzymać książek? Artykuły przecież są tylko pewnym chwilowym narzędziem taktycznym które rodzą się pędkiem, ale ich społeczna rola też kończy się na wyłączenie doraźnym użytku. Kończą się — o ile nie podtrzyma ich żywota sam autor, właśnie stwarzając z pozornie ulotnych pism cały zwarty tom, który ma dobitniej niżli one świadczyć o osobowości pisarza. Kisielewski tom taki zredagował. Opatrzył go niedwuznacznie przedmową, będącą pełnym akcesem do obozu intelektualistów katolickich, nie żadnych tam kate-

chumenów katolicyzmu, ale pełnych pisanzy katolickich. Z tomu tego — zupełnie świadomie — usunął wszelki cień swego „liberalizmu”, ten zostawił sobie widać tylko do żartów na ostatniej stronie.

W roku 1945 nie pisał jeszcze nic o katolicyzmie. W 1946 już to uczynił. W czerwcu 1947 — w dwa miesiące — po przepisowym odbyciu pokuty za „Sprzysiężenie”, kiedy to przez cztery miesiące nie nie publikował ani w „Tygodniku”, ani nigdzie indziej — jeszcze raz, dobitnie, potwierdził, przedmową swój akces do światopoglądu katolickiego. W roku 1948, gdy drukiem wylała się „Polityka i sztuka” nie wprowadził w tekstie przedmowy żadnych zmian, akceptował ją najzupełniej. Porównanie wypowiedzi z 1945 z następnymi, porównanie „Pod włosia” z równoczesnymi artykułami „nazwiskowymi”, porównanie „Sprzysiężenia” z „Polityką i sztuką” — świadczy najpełniej o procesie światopoglądowym, jaki odbył się w twórcy tych wszystkich pozycji. Kisielewski wyszedł od liberalizmu, pogroził się z nim oficjalnie w swych publicystycznych artykułach. Uczynił to on, jak uczyniło to wielu innych, stwierdziwszy absolutną nieprzydatność praktyczną tej postawy duchowej w epoce operującej tak wielkimi masami ludzi, która wskutek tego stała się epoką nadzwyczajnych sprzeczności ekonomicznych, gospodarczych, społecznych, a co za tym idzie, epoką wielkich i zasadniczych przemian ustrojowych. Czas dzisiejszy wymaga polaryzacji światopoglądowej. Klerk Benda stowarzyszył się z komunistami, klerk Kisielewski uznał za stosowne przejść w szeregi wyznawców Kościoła Katolickiego. Poważne artykuły publicystyczne, będące rezultatem pracy rozumowej, określiły akces Kisielewskiego do obozu katolickiego, pełny i bez zastrzeżeń. Łatwiej jednak rozumowo uznać konieczność pewnej postawy ideowej, niż dostosować do niej swój styl życia, styl swych myśli i odczuwań, swe dyspozycje psychiczne i artystyczne. Nie nadążają one zazwyczaj za pracą rozumu. „Notatnik obserwatora” Pawła Hertza jest w tym względzie zadziwiająco analogiczny do „Polityki i sztuki” Stefana Kisielewskiego. Obaj wyszli z burżuazyjnej demokracji liberalistycznej. Obu rozsądek wywiodł z niej dalej, w szeroki świat. Hertza zaprowadził do marksizmu, Kisielewskiego do katolicyzmu. Hertz mimo to nadal zachwyca się Proustem w nim widząc świętnik i — co gorsze — wzór literatury (by rzecz ująć bardzo uproszczając). Kisielewski „Sprzysiężenie” nie zdezwajał go nigdy jednym słowem, a na niezobowiązującej stroniczce „Pod włosia...” długo dawał upust swej na mierności do tego liberalizmu, którego musiał się wyrzec, gdy uznając jego aktualną nieprzydatność, wstąpił do Kościoła.

Kościół poucza, iż większa radość w niebie z jednego nawróconego niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu wiernych.

Dlaczego jednak Stefan Kisielewski nie stał się obiektem tej radości? Dlaczego nie odbarzony został ani przez Episkopat ani przez „Dzisiaj i Jutro” żadną z nagród publicystycznych czy literackich, mimo iż zarówno publicysta jak twórca z niego zgoła nie pośledni?

Zdaje się, iż wyważna lektura „Polityki i sztuki” daje na to pytanie odpowiedź zupełnie dokładną. Jaką — bowiem — drogą znalazł się ten liberalistyczny katechumen który w swym „Sprzysiężeniu” jednej linijki nie poświęcił zagadnieniu wiary, jako tkwiącemu widać poza sferą jego zainteresowań w gro-

nie wyznawców Kościoła? W poszukiwaniu syntezy między Traugutem a Wielopolskim, między Piłsudskim a Dmowskim — dojrzał Kisielewski instytucję Kościoła Katolickiego i wydało mu się, iż właśnie katolicyzm będzie tą syntezą dwóch temperamentów, iż to on właśnie rozumem okiełzna namieć. Nie chodziło mu o żadną sprawę religijną, o żaden wstrząs psychiczny mający związek z problemem wiary czy nie wiary, o żadną prawdę boską, nad - człowieczą. Nie, ten „kisielewski” katolicyzm to z jednej strony azylum dla nadmiernych indywidualistów, stylowi życia których zagraża socjalizm, z drugiej strony — to narzędzie jakiegoś kompromisu psychicznego. A — rzecz oczywista — na takie ujęcie istoty katolicyzmu Kościół nie może się zgodzić.

Gdy Zawieyski rozstrząsa problem wiary i kary, gdy wślizguje się w splątany węzeł etycznych zagadnień nęających dusze ludzkie, gdy pięknie mówi o miłosierdziu i miłości bliźniego, gdy rozstrzyga zagadnienia wiary — to jest niewątpliwie pisarzem katolickim, któremu bliskie są przede wszystkim ludzkie namietności. Gdy Stefan Kisielewski pragnie w katolicyzmie dożyć narzędzie rygorystycznego rozumowania taktyczno - politycznego — jest dla Kościoła ciągle tylko sprzymierzeńcem, chwilami może nawet kłopotliwym. Obym nie był złym prorokiem, ale boję się, że rozmaici liberaliści, szluszający do innych światopoglądów nie dla tego co one w istocie są reprezentują, lecz dlatego co owi pogrobowcy liberalizmu starają się w

nich dostrzec — gonko się zawiodą. Boję się, czy człowiek o typie umysłowym i o stylu życia Kisielewskiego długo wytrzyma w ramach Kościoła i czy nie rozczaruje się w ten sam, a może nawet dotkliwszy sposób, jak danym było mu to przeżyć wobec liberalizmu. „Polityka i sztuka” jest książką ostatecznie pieczętującą rozczarowanie Stefana Kisielewskiego do liberalizmu. Życzę mu, aby nigdy nie stała się ona kłopotliwym balastem przy możliwym następnym rozczarowaniu.

**

Książka Kisielewskiego liczy sobie 284 strony. Z tego artykułom o treści politycznej wydzielonych jest 75 stron. Tymi 75 stronami zajęłem się głównie w powyższych uwagach. One bowiem ustawiają Kisielewskiego ideologicznie. Pozostałych stron ponad 200 poświęconych jest zagadnieniom głównie literatury i muzyki. Jest to świetna i nadzwyczaj interesująca partia zbioru, w której wszystkie znaki zapytania i negatywne wykrzykniki, jakimi pokryłem margines części pierwszej, zamieniły się na wykrzykniki afirmujące (z małymi tylko zastrzeżeniami). Są to bardzo ciekawe i inteligentne spostrzeżenia, nadające dopiero prawdziwą wartość książce i okazujące, iż dość jednolity pogląd artystyczny Kisielewskiego — pozostał tym czym był — poglądem liberalnego krytyka o subtelny guście. Trudno mi wobec tego z tą częścią książki podejmować jakąkolwiek dysputę. Byłoby to powtarzanie tez książki Kisielewskiego po raz wtóry. Prze-

czytajcie sami, skoro nie chcieli tego dotychczas uczynić za was — krytycy, recenzenci i medycy tygodników i periodyków przeróżnych.

„Polityka i sztuka” jest pozycją — jak napisałem — niezwykle sympatyczną. Właśnie dlatego, iż jest książką rozczarowań wobec liberalizmu. Każdy z prawdziwie i rzetelnie myślących a umiejących patrzeć dokoła siebie liberalistów musiał doznać tych rozczarowań. Musiał dojść do smutnego wniosku o zupełnej nieprzydatności własnej postawy światopoglądowej. Musiał więc odejść od liberalizmu. Nie każdy jednak odszedł w tym kierunku, w jakim uczynił to Kisielewski, i nie każdy doszedł do tego celu, co Kisielewski próbując rozmaitych dróg upodobał sobie na koniec jedną. Wybór ten utrwalił w „Polityce i sztuce”.

Wiem, że to nastąpić musiało. Wiem, że nie jeden Kisielewski proces ten przeżył. Ale też — niech mi wolno będzie na moment być nieco złośliwym — ten wybór i taki wybór jest to również zdrada klerka... liberalistycznego. I dlatego, gdy przyjdzie mi Kisielewskiemu przesyłać egzemplarz mej najbliższej książki, przepiszę tam tę dedykację, którą „Kisiel” umieścił na ofiarowanym mi tomie „Polityki i sztuki”: „...temu, który dawniej grał na fortepianach, a dziś zmęczony, ogranicza się do jednego”.

Dlatego też książkę jego rozczarowań wypada mi może w pewnym stopniu traktować jako książkę jego i moich rozczarowań.

Kazimierz Koźniewski

Co piszą inni...

OSZEROKO zakrojonej akcji spotkań autorów z czytelnikami organizowanej przez „Czytelnika” było u nas dotąd na ogół mało. Ograniczając się do podania najistotniejszych faktów informacje w prasie codziennej, parę drobnych notatek typu też raczej informacyjnego w tygodnikach literackich, trochę zdjęć w ramach kroniki filmowej — to chyba z grubsza biorąc wszystko, co się na ten temat słyszało i czytało. A przecież z akcji tej, prowadzonej zresztą nie tylko przez „Czytelnika” (którego zakres musiał być tu oczywiście najszerszy i wkład największy), lecz także przez inne instytucje (bo wliczyć tu trzeba również i akcje odczytowej organizowanej np. przez redakcje różnych czasopism jak i szereg innych instytucji kulturalnych) — urosł chyba dotąd bardzo zasobny kapitał do świadczeń. Kapitał ten czeka na „rozpracowanie”, na analizę, która wyda się nasunąć może wiele ciekawych i pożytecznych wniosków.

Często dzieje się tak, że pewne doświadczenia uzyskane w drodze praktycznej muszą się najpierw „uleżeć”, ażeby doczekały się teoretycznej analizy i głębiej przemyślanych postulatów wskazania. Czasem pokrywa je nawet pył zapomnienia i zaniedbania. Jest oczywiste, że w naszej sytuacji, w warunkach wzmoczonej twórczości kulturalnej i intensywnej pracy nad możliwie najszerszym upowszechnieniem zdobytych kulturalnych, nie wolno nam w żadnym wypadku pozwalać sobie na luksus zaniedbania, zapomnienia i niewyciągnięcia wniosków z wszelkich doświadczeń praktycznych uzyskanych na polu upowszechnienia kultury. A że zbliżenie autorów z czytelnikami jest jedną z cennych form upowszechnienia kultury, to jest chyba równie oczywiste, jak i to, że forma ta dała naprawdę kolosalny materiał doświadczeń.

Wydaje się, że rezultaty praktyki kulturalnej na tym polu osiągnięte wy starczają już „uleżeć”, i że najwyższy czas już na przygotowanie i podjęcie głębszej analizy i wyciągnięcie szerszej przemyślanych wniosków. Dlatego z radością powitać należy pierwsze jaskółki, których pojawienie się można ostatnio zarejestrować. Są to dwa artykuły: Jeden Tadeusza Kwiatkowskiego w Krakowskim „Dzisiaj i Jutro” („Jeżdżąca literatu-

ra” nr 20/115); drugi Ryszarda Matuszewskiego w „Książki” („Pisarz wśród czytelników” nr 18/191). Są to nie tylko opisy subiektywnych wrażeń z odbytych z czytelnikami spotkań. Te bowiem zaopatrywali autorzy w komentarz własnych szerszych spostrzeżeń i wniosków. Matuszewski ujął rzecz od strony zapotrzebowania terenu czytelniczego na kontakt z krytykiem, by potem przejść do szerszych uwag o planowym organizowaniu chłonności kulturalnej stwierdzając: — „Należy skończyć nie tylko z tym, że robotnik, chłop i urzędnik nie czyta, należy walczyć o to, aby czytał planowo i z myślą o uzupełnieniu swej wiedzy, o czynnym udziale w życiu kulturalnym, o tworzeniu tego życia kulturalnego we własnym środowisku”.

JEST jedna rzecz, która uderza we wspomnianych artykułach a o której pisałem już na początku. Chodzi tu o podkreślenie doniosłości tej akcji i konieczność użytkowania uzyskanej sumy doświadczeń. Dobrze podkreśla to Kwiatkowski pisząc: — „Twierdząc nawet, że wielu literatów nie zdaje sobie sprawy z niesłychanej doniosłości tej „jeżdżącej literatury” i nie zwróciło do tej pory bacniejszej uwagi na społeczne i wychowawcze walory wycieczek autorskich do swych czytelników. Kampania „Czytelnikowska” winna więc znaleźć jak najszerszy odźwięk w drukowanych reakcjach wszystkich tych pisarzy, którzy wzięli w niej udział i mogli z bliska przypatrzeć się wielkiemu dziełu „uaktywnienia” kraju i powszechnej oświaty.

Ogromne znaczenie tej akcji doceni bowiem pisarz poprzez osobisty kontakt z tysiącami ludzi wypełniającymi szczebelki świetlic i sale małych miasteczek, wsi i osad wiejskich, poprzez długie rozmowy i dyskusje z uczestnikami audycji autorskich”.

I słusznie podkreśla, że zetknięcie z czytelnikami daje korzyści obustronnie konieczne i potrzebne — „Pisarz ten czuły sejsmograf życia — dociera do odległych i nieznanych mu światów. O wiele bliżej dla pisarzy leżały stolice zagranicznych państw aniżeli zapadle dziury wokół ich rodzinnych miast. Pisarz zapoznaje się ze swym odbiorcą, z którym do tej pory nie miał przeważnie nic wspólnego”.

Dobrze się stało, że Kwiatkowski i Matuszewski poruszyli te zagadnienia.

Nazwałem ich artykuły pierwszymi jaskółkami. Bo sądzę wraz z nimi, że trzeba, aby ci wszyscy autorzy, którzy wzięli udział we wszystkich czytelnikowskich spotkaniach i innych tego typu imprezach jak wieczory autorskie na terenie miast, osiedli miejskich i fabrycznych, parafii, świetlic młodzieżowych itp. jak najszybciej podzielili się z nami wszystkimi swoimi spostrzeżeniami i uwagami.

Bo doświadczenia tam zdobyte stanowią wspólny kapitał, który trzeba zużytkować dla wspólnego dobra. Te publikacje będą chyba najlepszym materiałem do teoretycznej analizy problemu i wyciągania trafnych wniosków dla dalszej tego typu pracy. Sądzę też, że należałoby pomyśleć o tym, by zdobyte wypowiedzi, także od strony czytelników — uczestników spotkań z autorami (np. w formie różnego rodzaju ankiet). W ten sposób zdobyłoby się naprawdę rzetelny materiał. Przedpola pracy dla spójnego od planowania kulturalnego byłoby w tej dziedzinie oczyszczone. A i socjologicznie znalazłoby tu dużo cennego materiału. Wyrażmy więc nadzieję, że po tych „pierwszych jaskółkach” znajdziemy niebawem dalsze wypowiedzi na ten temat.

I jeszcze jedno. Organizatorom „Czytelnikowskich” akcji „pisarzy wśród czytelników” chcemy zwrócić uwagę na jedno. Proszę mi wybaczyć, że w przeglądzie prasy w „Dzisiaj i Jutro” za cytuję wypowiedź z „Dzisiaj i Jutro”. Jest to cytat z artykułu Wł. Wnuka z przed miesiąca, w którym na marginesie toczącej się wówczas w naszej prasie dyskusji o kosmopolityzmie słusznie pisał: — „Stwierdzając to (doniosłe osiągnięcia obozu „czającego” na polu upowszechnienia kultury — przyp. mój) nie zamykamy drzwi na to, co nas w aktualnej polityce kulturalnej niepokoi. Na to mianowicie, iż w delegowaniu dumy narodowej i postępowych tradycji jako istotnego czynnika wszelkiej postępowej twórczości — co tak słusznie podkreśla Celina Bobińska w „Trybunie Ludu” — pomija się lub nienależyście docenia rolę Kościoła i katolicyzmu, którego wkład w uprawę kulturalną naszego narodu był i jest olbrzymi. Ze w akcji odczytowej, w „spotkaniach autorów z czytelnikami” za mało spotykamy pisarzy o światopoglądzie katolickim.

hm.

Wojciech Kęrzyński

PODSTAWY KRYZYSU

Gruntowna analiza współczesnego kryzysu ideologicznego, jaki przeżywa dziś świat cywilizowany, musiałaby być niezmiernie obszerna. Elementy tego kryzysu są bowiem mieszane, zróżnicowane i skomplikowane. Syntetyczny rzut oka na całość sytuacji pozwala jednak na pewne uogólnienie, wskazujące na czynnik predominujący, jeśli nie w mechanice odbywających się przemian, to w każdym razie w psychice tych mas społecznych, które są tego kryzysu przedmiotem. Jest nim czynnik materialny. Wyrażając się dokładniej: w mentalności olbrzymiej większości współczesnych — dzisiejszy kryzys sprowadza się w istocie do zagadnienia właściwego rozdziału dóbr materialnych.

Podkreślamy jednak, że jest to refleks raczej psychologiczny. Jakkolwiek ten rodzaj problematyki odgrywa dziś niewątpliwie rolę olbrzymią, wydaje się nam jednak że istotne źródła kryzysu sięgają znacznie głębiej, są one w istocie przede wszystkim moralne. Najistotniejszym nie jest problem rozdziału dóbr materialnych, lecz charakteru indywidualnych i społecznych stosunków międzyludzkich, które właśnie przeżywiają kryzys najpoważniejszy.

Jednak, i to jest cechą charakterystyczną współczesnej epoki — ten kryzys międzyludzkich stosunków odbija się właśnie najmocniej na problematyce gospodarczej, a w szczególności na odcinku stosunków własnościowych. Stąd też zjawisko identyfikowania w umysłach większości dziejącego się kryzysu moralnego, z jego materialnym następstwami.

W tej płaszczyźnie można więc podzielić dzisiejszą światową — nawet opinię publiczną na dwa zasadnicze odcinki: na tych, którzy głoszą reformy społeczne, pragną rozdziału dóbr materialnych uczynić celowszym i sprawiedliwszym, i na tych, którzy świadomie czy nie walczą w pierwszym rzędzie o zachowanie czy zapewnienie sobie konkretnego i indywidualnie pojętego dobrobytu.

Gdy w 19 wieku narastała problematyka socjalistyczna, wydawało się powszechnie, że społeczne kierunki reformistyczne będą stały przed zadaniem walki z nadmiarem wyprodukowanych dóbr materialnych, walki wynikającej z groźby kryzysu na tle nadmiaru do brobytu, nadmiaru potrzeb konsumpcyjnych, nadmiernego rozrastania się aparatu produkcyjnego. Tymczasem praktyka wieku 20 wykazuje, że ludzkość daleka jest jeszcze od osiągnięcia apogeum swych materialnych możliwości. Przeciwnie nawet — raz po raz staje przed widmem kryzysów spowodowanych niedoborami, i że obniżenie się skali życia jest dziś zjawiskiem powszechnym.

Ten stan rzeczy powoduje sam przez się oczywisty podkład niezadowoloności i buduje fundamenty anty-reformistyczne tendencje konserwatywne. Argument: „dawniej było lepiej, więc reformy są błędne“, należy do tych, które najłatwiej trafiają do przeciętnych umysłów, i trzeba to przyznać, powołać on w dalszym ciągu poważną dywersję nie tylko psychiczną, ale i polityczną w obozie reformy i postępu.

Oczywiście, głosząc reformy społeczne i gospodarcze trzeba sobie uświadomić ich koszt. Każda próba

zmienienia obowiązującego porządku, zwłaszcza, jeśli się odbywa w warunkach rewolucyjnych, pociąga za sobą nieuchronnie nie tylko dużą stratę energii twórczej, lecz, zwłaszcza w okresie wstępnym musi się negatywnie odbijać na interesach nawet najbardziej zainteresowanych. Jeśli każda reorganizacja aparatu administracyjnego pociąga za sobą nieuchronnie poważne zmniejszenie się sprawności jego funkcjonowania, to tym bardziej reorganizacja systemu gospodarczego pociąga za sobą nie tylko tymczasowy spadek produkcji, lecz mo że chwilowo nawet dotkliwie obniżyć poziom życia materialnego zainteresowanego społeczeństwa.

W tych warunkach przeciwnicy danej reformy mają doskonałe argumenty dla atakowania zwalczanego programu społecznego, wykonywanego podjętą się niezadowolonością czy zniecierpliwieniem mas, oczekujących szybkich i radykalnych wyników dodatkowych.

W doszukiwaniu się przyczyn znacznego obniżenia się przeciętnych warunków materialnych w ciągu ostatniego okresu nie sposób nie zauważyć i nie zanotować faktu, że przychodzi ludzkości niewątpliwie płacić za wywalczone reformy społeczne.

Nie jest to jednak jedyny element oceny. Drugim, powszechnie znanym i docenianym jest fakt, że w przeciągu ostatniego wieku przeszedł przez świat cywilizowany groźny ciąg kryzysów materialnych, wynikających z istoty panującego ustroju kapitalistycznego, przepłatanego kosztownymi i krwawymi wojnami i rewolucjami. Jest wdzięcznym zadaniem dla socjologów i ekonomistów ustalić jakie niesłychane bogactwa zostały w ciągu tego okresu zmarnowane po prostu z racji nieudolności systemu. Wagi tej problematyki nie potrzeba zresztą dowodzić Polakom. Mieliśmy więcej chyba niż inne narody okazji uświadomienia sobie, jak dużo z naszego dziejowego dorobku materialnego i kulturalnego zostało bezproduktywnie zniszczone, ile razy przyszło nam odbudowywać jedne i te same obiekty. Gdyby Polska posiadała dziś tyle dróg, kolei, mostów, budynków, ile utraciła i ponownie odbudowywała w ciągu ostatniego stulecia — byliśmy chyba jednym z najlepiej zagospodarowanych krajów, posiadalibyśmy zasoby dóbr materialnych, zdolne do podniesienia naszego poziomu życia na bardzo wysoki szczebel.

Jest jednak jeszcze jeden element, który przeważnie ucieka z naszego pola obserwacji, gdy zastanawiamy się nad przyczynami niedoborów i trudności, z którymi dziś przychodzi nam walczyć. Ten właśnie element, który dowodzi, że kryzys współczesny jest w swej istocie w pierwszym rzędzie kryzysem moralnym, a do piero w skutkach — materialnym.

Jest nim powstała konieczność zrezygnowania przez Europę z ciągłego gnicia korzyści materialnych z tych źródeł, które dawały dotąd niemal za darmo to wszystko, co stanowiło o luksusie i o wysokim poziomie życia niektórych, reprezentacyjnych ośrodków europejskich. Konieczność wyrzeczenia się systemu eksploatacji obszarów kolonialnych. Trzeba to sobie uświadomić, że wiek XIX stanowił apogeum rozkwitu polityki kolonialnej rasy białej i że w tym okresie europej-

skie kraje kolonialne czerpały niekończące się źródła bogactw w kolonii, które, ubezwłasnowolnione, oddawały je za bezcen.

Obok problemu wyzysku mas robotniczych istniał więc drugi problem moralnie jeszcze okropniejszy. Problem milionów ludności tu bylewej, rozsianej po Ameryce, Afryce, Azji, którym białe najeźdźca nie tylko zniszczył i splądrował ich własną, rodzimą kulturę, lecz których zaprzęgił do niewolniczej pracy, wobec której wyzysk robotniczy mógłby się jeszcze wydawać idyllą. Nie robimy sobie złudzeń, nie dajmy się oszukiwać frazesom o twórczej cywilizacyjnej roli europejskiej kolonizacji. Oczywiście, zaszczerpili biali kolonizatorzy niektóre elementy swej wyższej cywilizacji technicznej ludom prymitywnym, oczywiście przeorali wpływami własnej kultury ich prymitywizm. Założyli szkoły, szpitale, wybudowali drogi. Na systemach politycznych i społecznych europejskich wychowywały ludy koło rowe nowe pokolenia swych bardziej dojrzałych i bardziej cywilizowanych przywódców. To prawda. Lecz za jaką cenę się ten mimo wolny zresztą proces cywilizacyjny odbywał? Za cenę zgangrenowania moralnego, zarażenia najgorszymi wpływami ludów, które stały dotąd daleko od tego „wyrzafinowania“, jakie okazali europejczy koloniści. Za cenę ponadto sprowadzenia ludności tubylczej do roli „unterschicht“, których jedynym powołaniem cywilizacyjnym jest służyć białym panom. Czy Kiplingowi nie dostrzegali tej gorzkiej prawdy, na którą patrzyli codziennie oczy niezliczonych ludów kolorowych. W ich imieniu wnosił akt oskarżenia mędrzec hinduski Rabindranath Tagore:

„Cywilizację europejską czuję trupem. Jam facet. Ona wyściska soki z narodów, które podpadają jej panowaniu, ona niszczy i wypłenia rasy stojące na drodze jej zdobywczego pochodu. To cywilizacja kaniibalów, która uciska słabych i bogaci się ich kosztem, rozsiewa wszędzie zawiść i nienawiść i tworzy pustkę koło siebie. To cywilizacja naukowa a nie ludzka. Potęgą jej rodzi się z tego, że koncentruje ona wszystkie wysiłki w jednym jedynym kierunku — w celu wzbogacenia się. Pod maską patriotyzmu zapiera się ona danych obietnic i zastawia wszędzie swe bezwstydne sieci, utkane z kłamstwa. Ona stawia olbrzymie i potworne bałwany w swych świątyniach, wzniesionych bogu zysku, którego czerpi jedynie...“

I nie wolno nam, chrześcijanom, nam katolikom zbyt łatwo się z tego aktu oskarżenia wyłączać przez sam fakt, żeśmy przeciw temu wyzyskowi niejednokrotnie protestowali, żeśmy się nawet przyczyniali do jego złagodzenia. Twórcą głosu dziś na zachodzie organizacji katolickiej młodzieży robotniczej (JOC) — kanonik Cardijn, który w bieżącym roku jeszcze z polecenia swych władz duchownych dokonał szerokiej inspekcji kolonialnych terenów misyjnych — przywodził z nich najbardziej wstrząsające wrażenia. W opublikowanym na ten temat artykule w „Temoigna ge Chretien“ ostrzega, że nagminnie, choć najzupełniej mimowolnie — placówki misyjne stają się narzędziami w rękach perfidnej polityki kolonialnej, która tą drogą wciągając ludność tubylczą w pułapki, pozostawiając misje bez-

radne wobec okrucieństwa wyzysku kapitalistów.

Tak się dzieje dziś przede wszystkim w Afryce, w ostatnim obiekcie ekspansji kapitalistycznej, gdzie ludność tubylcza nie posiada jeszcze dość wysokiego stopnia świadomości narodowej i społecznej, by móc się zwarcie oprzeć obcej polityce kolonialnej.

„Dla kapitalizmu liberalnego, pisze w swym sprawozdaniu Ks. Cardijn, Afryka jest dziś nowym terenem. Z łatwością zdobywa on sobie robociznę, lekceważąc sobie całą problematykę społeczną — mieszkaniową, sanitarną...“

To masowe rzucenie ludności tu bylewej, która porzuciła swe starożytne siedziby dla zwodniczego miasta przynosi swoje tragiczne owoce: masy sproletaryzowane, skazane na nędzę i na wyzysk rozsada ją stare ramy.

Świat jest jeden, a jego zjednoczenie odbywa się oddolnie. Budowanie przegród jest już teraz niemożliwością, a sytuacja obecna, która się opiera na nietrwałej przewadze zbrojnej — długo trwać nie będzie. Hasło „Afryka dla Afrykanów“ za wiera w sobie elementy prawdy“.

Jeśli dziś następuje emancypacja ludów kolorowych, jeśli dziś zalamuje się system kolonialnego wyzysku, to jak to widzimy z obiektywnego sądu kanonika Cardijn — mała jest w tym zasługa „świata cywilizowanego“. Niemniej w tym świecie cywilizowanym nie może już nie dokonać się zasadniczy przełom — rozdział na tych, którzy się z emancypacyjną walką ludów kolorowych solidaryzują, i na tych, którzy w imię swych osobistych interesów pragną ten stan rzeczy utrzymać.

Ci jednak, którzy w imię moralności i sprawiedliwości pragną odciąć się od polityki wyzysku i poniżenia ludzi słabszych przez silniejszych, muszą sobie dobrze zdać sprawę, iż postawa taka nie może się kończyć na deklaracjach teoretycznych. Kto jest przeciw wyzyskowi świata robotniczego, kto jest przeciw metodom kolonialnego rabunku — ten automatycznie rewolucjonizuje podstawy materialne, na których opierały się dotąd prawie wszystkie większe i zasobniejsze narody. Nie tylko, trzeba przestawić gospodarkę narodową na inne tory, które by pozwoliły rozwijać się społeczeństwu w innych warunkach społecznych, lecz musimy świadomie uczynić choćby czasowo ofiarę z tych możliwości standardu życiowego, jakie dawała poprzednia rzeczywistość. Myśl socjalistyczna, niezależnie od tego, że przykład wielką wagę do zagadnień materialnych, i że dąży do zapewnienia w przyszłości dobrobytu każdemu, wiąże się na dziś ściśle z ideą świadome-

go, dobrowolnego rezygnowania z części posiadanych możliwości materialnych na rzecz ulżenia innym, słabszym grupom społecznym. Czy może być tendencja od tej bardziej chrześcijańska?

Centralnym współczesnym problemem ideologicznym pozostaje zagadnienie własności. Nauka społeczna Kościoła Katolickiego przypomina, że własność ma w życiu człowieka znaczenie nie tylko techniczne - ekonomiczne. Ma swoje znaczenie moralne. Jest potrzebna dla zapewnienia człowiekowi odpowiednich warunków rozwoju jego osobowości, by umożliwić mu wewnętrzne doskonalenie, czemu nie sprzyja nędza i proletaryzacja. Jednak o wielkim, kluczowym problemie własności nie wolno się wypowiadać w abstrakcji, w oderwaniu od socjalnego kontekstu zagadnienia, jakie stanowią — sprawa robotnicza i sprawa kolonialna. Są to elementy, które ograniczają rozwiązanie problemu. Z jednej strony domagają się, do czasu przeprowadzenia skutecznej ogólnoswiatowej reformy, rezygnacji świadomej z tych możliwości materialnych, jakie dawała polityka wyzysku, z drugiej strony formy istnienia i używania własności muszą być ściśle dopasowane do nowych warunków, które dopiero powstają.

Upowszechnienie własności, które przez niektóre koła katolickie było lansowane jako program reformy społecznej — w tych warunkach nie wydaje się wytrzymać próby życia. Abstrahując już od problemu jakie siły byłyby dziś w stanie wielką własność przemysłową upowszechnić i gwarantować, iż nie powróci ona w ręce nieodpowiedzialnych jednostek, trzeba stwierdzić, że przy tak gruntownym przewrocie, jakiego domagają się dziś warunki ludzkiego współżycia — upowszechnienie nie jest realne. Jeśli bowiem przyjmijemy jako swój program zwrócenia narodom kolonialnym ich praw zarówno politycznych, jak i gospodarczych, jeśli się zgodzimy na ich nieunikniony pęd do podniesienia katastrofalnie niskiej stopy życia ludów kolorowych, to przekonywamy się, że zasób rzeczywistych dóbr materialnych, jakimi dysponują poszczególne narody Europy i Ameryki zmniejszy się poważnie. Trzeba wówczas przekształcać radykalnie formy posiadania, by zapewnić równomierne i sprawiedliwe korzyści wszystkim, a jednocześnie umożliwić szybkie budowanie nowych środków produkcji nowych bogactw narodowych. Tu już zawodzi gospodarka indywidualna.

Jeśli się przypatrzeć uważnie stosunkom społecznym panującym na świecie w ciągu ostatniego stulecia (dok. na str. 4).

ZGON PIOTRA DUNIN-BORKOWSKIEGO

Dnia 19 maja zmarł na atak serca w Rzymie w wieku 59 lat Piotr Dunin-Borkowski, b. wojewoda lwowski i polski, od dwóch lat konsul generalny R. P. w Rzymie.

Kultura polska traci w Zmarłym człowieka o niezwykłej inteligencji, głębokim i wszechstronnym wykształceniu, kryształowym charakterze. Wszyscy Jego znajomi i przyjaciele tracą ponadto mądrego, szczerego doradcę — gotowego zawsze do poświęceń towarzysza. W jednym z najbliższych numerów „Dziś i Jutra“ zamieścimy obszernie wspomnienie o Zmarłym oraz zawiadomienie o nabożeństwie żałobnym.

Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Maryi

Na temat pierwszego religijnego wiersza Mickiewicza krąży do tej pory w oficjalnych wypowiedziach naszych mickiewiczologów najbala mutniejsza teoria. Na fałszywe to skierował badaczy Józef Tretiak, który najpierw twierdził, że „Hymn” był wyrazem poczucia wezbranej mocy poetyckiej i uwielbienia dla Maryi. („Adam Mickiewicz w świetle nowych źródeł”, Kraków 1917 str. 224). Sąd ten nieco złagodzony powtórzył Tretiak specjalnie w swojej rozprawie, poświęconej motywom mariologicznym twórczości poety. „Hymn na dzień Zwiastowania pochodzi z okresu pierwszego obudzenia się sił twórczych, romantycznych fantazji i marzycielskiej miłości dla Maryi i nosi na sobie wyraźne ślady tego okresu. („Cześć Mickiewicza dla Najśw. Panny” — w książce „Kto jest Mickiewicz?” Kraków 1924 str. 73).

Zobaczmy, że zatówny geneza jak i zawartość ideowa tego utworu są o wiele głębsze. Najpierw musi my pamiętać o tym, że „Hymn” powstał w Kownie w tym samym mniej więcej czasie, kiedy Mickiewicz pisze swoją „Ode do młodości”. Pomijając już ten fakt, że ideały mariologiczne idą często u poety w parze z ideałami młodzieżowymi, musimy przyznać, że zarówno w „Odzie” jak i w „Hymnie” po raz pierwszy buchnęły potężne iskry geniuszu na to, by kaskadą światła i prawdy olśnić współczesnych, pozyskać adeptów dla wyznawanych i propagowanych przez siebie wierzeń.

Wyraźnie podkreślam fakt, że samo tworzenie tych dwu arcydzieł literki musiało w silnym stopniu jako przeżycie wstrząsnąć samym poetą. Nam tylko została przekazana końcowa faza tego procesu myślowego, uczuć i dążeń świata wewnętrzniego twórcy. On sam podkreślił swój realny udział w czynach, wierzeniach i myślach nie tylko głównych bohaterów:

„I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płacę i mówię pacierze...”

Cóż dopiero mówić o utworach, którymi chce w nas „własne ognie przelać”. A do tych utworów musimy zaliczyć przede wszystkim „Hymn” na Zwiastowanie. Mając na uwadze moment przeżycia psychologicznego poety, przyjrzyjmy się poszczególnym obrazom, jakie jego wyobraźnia twórcza kreśli z życia i tajemnic Maryi. Posłuchajmy żywego tętna jego serca z „uczuciami kwiatami”, ofiarowanymi swemu ideałowi „Niebianki”. Wreszcie będziemy musieli stanąć zdumieni przed misterną „przedzą myśli”, którą złożył hołd wspaniałym dogmatom mariologicznym.

Struktura utworu jest przepyszna. Składa się na nią tryptyk obrazów żywych, które stanowią zarazem część pierwszą utworu. Nazwijmy tę część „balladową” ze względu na to, że jest ona bardzo uchwytana, podobna do współcześnie pisanych „Ballad”.

Najpierw poeta składa hołd „Królowej Niebieskiej w którymś z kościołów wileńskich, najprawdopodobniej w Sanktuarium Ostrobramskim. Asumpt do złożenia tego hołdu dała poecie uroczystość Zwiastowania Najśw. Maryi Panny. A więc podkreślone zostały miejsce i czas przeżycia religijnego poety: „Pokłon Przczystej Rodzicy! Nad niebiosa twoje skronie, Gwiazdami twój wieńiec płonie

Jehowie na prawicy.
Ninie dzień Tobie uświęcamy,
wierni!”

Poeta prosi o natchnienie. Wśród jakiegos odrętwienia duchowego, niejako wśród martwoty kulturalnej współczesnych powstaje on, tchnięty iskrą geniuszu, by pobudzić otoczenie do czynu religijnego. Już tu taj odezwał się „vates et propheta” (wieszcz i prorok) z późniejszej poezji wieszczowej. Jest to konna modlitwa o pomoc niebieską dla ziemskich dróg arcyzmu. On sam kiedyś powie:

„Wiedźcie, że dla poety jedna tylko
droga,
W sercu szukać natchnienia i dążyć
do Boga”.

Teraz u progu swojej kariery poetyckiej woła w zapale: — „Głosu mi otwórz strumienie”. Poeta określa następnie cel, dla którego potrzeba mu tej nadziemskiej mocy. Najpierw chce uderzyć w organ chwały Maryi, czyli szerzyć Jej cześć na ziemi. Wie, że potęga poezji jest wielka. Już tutaj powstaje potężny obraz twórcy — poety, o którym będzie kiedyś mówiła „Pieśń Wajdeloty: i „Wielka Improvizacja”. Poecie chodzi przede wszystkim o moc do walki ze złem na świecie, „wśród niemej czerni”. A chwala Maryi, którą pieśniarz jej „zagrzmie piersią”, — jest wielka. Sama „Niebianka” jest przecież pogromicielką zła i szatana. Tytuł do tego płynnie już z protoewangelii, którą ludzkość usłyszała po pierwszym upadku w raju. „Ona zetrze głowę twoją, a ty czwachać będziesz na piętę Jej” (Gen. III.15). O tych prawdziwych mowa jest właśnie w pierwszej części tryptyku mariologicznego:

„Śród Twego błysnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła.
Oto śród niemej bojaźnią czerni
Powstaje prorok i woła —
„ organ Twej chwale,
Lecz z bóstwem idzie godne bóstwa
pienie.
Śród Twego błysnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie!
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!
A zagrzmie piersią, jak Cheruby
Zagrzmia światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybija —
Takim gzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą
Nieskończoność niech oblecą,
Więćność przeżyją!”

Druga część obrazu „balladowego” jest wizją świetlanej i czystej postaci Królowej Niebieskiej, niby żywcem zdjęta z konu ostrobramskiego. To jest najłatwiej zrozumiała strofa i wszystkie prawie komentarze omawiające cały „Hymn” do niej się odnoszą. Język i obraz łączy istotnie złotą barwą słońca i bieli się od śniegu brylantów.

Jeżeli Kallenbach w przedmowie do pierwszego tomu poezji Adama Mickiewicza w B. M. mówi o pięknie tego wiersza, niewątpliwie słowa jego odnoszą się właśnie do tej drugiej części tryptyku. Oto słowa Kallenbacha „Obraz Matki Boskiej w „Hymnie” jest przepiękny w kolorycie, zaczerpnięty z gry słońca na obłokach, jako pierwsza próba ujęcia barw i stosunku ich wzajemnego. Barw śnieżnej bieli,

złota i srebra użył poeta, aby nadziejską postać Bogarodzicy ubrać w najwspanialsze szaty blasków”.

Widzieliśmy już poprzednio, że Mickiewiczowi posłużyła za wzór postać Matki Bożej Miłosierdzia z Ostrej Bramy. Jest to najsłynniejsza w Polsce Madonna bez Dzieciątka. Jej złożył poeta hołd w inwokacji do „Pana Tadeusza” mówiąc o Niej, że „W Ostrej święci Bramie”. A więc Ona oświeca i daje poetom natchnienie, o co właśnie prosił Mickiewicz w pierwszej części utworu. Wizja idącej na Syjon Dziewicy i modlącej się szczerze w świątyni jerozolimskiej przenosi nas myślą do Ziemi Świętej, w odległe czasy tego ostatniego momentu Starożytności, kiedy kończyła się era zagniewania bożego. Oto środkowy i centralny obraz tryptyku, skupiający na sobie główną uwagę:

„A któż to wschodzi?
Wschodzi na Syon Dziewica.
Jak rasek z morskiej kąpieli
I jutrznia — Maryi lica,
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim szneli —
Taką na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa”.

Do tej części utworu odnosi się następująca interpretacja W. Borońskiego („Twórczość” — grudzień 1948): „Najwcześniejszy nawet wiersz religijny Mickiewicza, młodzieńczy „Hymn na dzień Zwiastowania”, jest właściwie hymnem za chwytu nad transfiguracją Madonny („A któż to wschodzi? Wschodzi na Syjon dziewica”), tj. przedstawia Zwiastowanie tak, że wyda się ono raczej Przemienieniem”. Oczywiście koncepcja ta jest mocno naciągnięta do tezy ogólnej autora, wyszukania „przeobrażeń” w twórczości Mickiewicza. Nie ma tutaj najmniejszej analogii do Przemienienia Chrystusa na górze Tabor.

Część ostatnia tryptyku balladowego przenosi nas z ziemi, — rozstępnionej przez stapanie po niej Przczystej Dziewicy, — do nieba, skąd przybędzie poseł zwiastujący cud Wcielenia. Anioła nie widać. Odstąpił poeta od konwencjonalnych obrazów religijnych. Jakby dla kontrastu z poprzednimi obrazami ziemi (poeta i Maryja, Polska i Palestyna), daje nam z początku wizję z zaświatów. Przenosimy się myślą do samego tronu Trójcy Przenajświętszej, gdzie zapada decyzja ratowania upadłego rodzaju ludzkiego. Potem zaraz do konuje się tajemnica Wcielenia Syna Bożego. Trzecia osoba Trójcy Przenajświętszej zstępuje na ziemię. Niebo schyla się ku ziemi. W tej części rozpostarta została nieja ko taroza przymierza i pojednania pomiędzy niebem a ziemią:

„Pojrzał Jehowah i w Niej upodobal sobie.
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy”.

Otóż na kanwie tego tryptyku balladowego, który był przygotowany, a zarazem widzialną stroną przeżycia artystycznego, dał nam poeta lapidarne, nawiąskroś lakoniczne sformułowanie paru katolickich dogmatów, związanych z tajemnicą wcielenia Syna Bożego:

„Grom, błyskawica!
Stań się — stało
Matką — dziewicą,
Bóg — ciałem!”

Krótki czterowiersz, składający się z ośmiu słów, jest chyba szczytem tego, co się dało kiedykolwiek najrościwiej wyrazić. A przecież są to prawdy niebawale, o treści głębokiej.

W pierwszym wierszu wyrażony został fizyczny moment Zwiastowania Ducha, a zarazem Zwiastowania. Proces ten zaczyna się w niebie, a kończy na ziemi.

Wiersz drugi przedstawia nam niebieskie „Fiat”, czyli wyrażenie zgody na dzieło Odkupienia. Odpowiada temu ziemskie „Fiat”, Matki Najświętszej, codziennie powtarzane przez wiernych w modlitwie na „Anioł Pański — w słowach: Niech mi się stanie według słowa Twego”.

Jeżeli już mówimy o tym dwukrotnym „Fiat” Nowego Testamentu, warto podkreślić i ten szczegół, że Mickiewicz wraca myślami w „Odzie” do pierwszego „Fiat”, zawartego na pierwszych stronach Pisma św. Starożytności. Oto potężna wizja powstania świata z nicości odmalowana przez Mickiewicza w „Odzie”:

„Jednym Stań się! z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrebie,
Szumią wichry, cieką głębie,

A gwiazdy błękit rozjaśniają”.

Wiersz trzeci opisuje dwa dogmaty mariologiczne. Pierwszy to ten, że Najświętsza Maryja Panna została Matką Syna bożego, czyli podkreślone zostało jej Macierzyństwo boże, najwyższa łaska niebios dana stworzeniu. Część druga tego wiersza mówi nam, że Matka Najświętsza jest wolna od wszelkiego grzechu, nawet pierworodnego, jako Niepokalanie poczęta.

W czwartym wierszu zamknął poeta prawdę sformułowaną przez św. Jana, a powtarzaną codziennie w modlitwie na — „Anioł Pański” — „A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami”. Słowo boże przychodzi z niebios na ziemię, rozpozynając dzieło odkupienia ludzkości.

Podziwiamy słynne antytezy kolendy Karpińskiego — „Bóg się rodzi”. Antytezy Mickiewicza są silniejsze, gdyż każde słowo zawiera jedną prawdę religijną. Przedstawia ten czterowiersz zaślubiny nieba z ziemią, wieczności z doczesnością. Bóg przychodzi ze swoją szczerą rodbroliwością i pojednaniem do człowieka, a człowiek w postaci najczystszej i najświętszej osoby na ziemi, którą jest Najśw. Maryja Panna, odpowiada na łaski Niebios Tworzy się cudowna harmonia w niebie i na ziemi.

Podstawy kryzysu

(dokończenie ze str. 3-ej)

cia — nie sposób nie zauważyć kardynalnej prawdy, że istnienie systemu gospodarczego indywidualnej własności prywatnej bynajmniej nie zabezpiecza, nie chroni osobowości ludzkiej. Robotnik i tubylec z jednej strony byli tymi, których osobowość uległa w pewnym okresie regresjom moralnym na skutek fałszywego systemu gospodarki indywidualnej. Z drugiej strony — przeciętny posiadacz, którego demoralizowała nie tylko łatwa możliwość zarobku, ale i łatwa możliwość poniewierania bliźnim był także dalekim od prawdziwego chrześcijaństwa. Stąd też powstały kryzysy religijny.

Chrześcijaństwo może się rozwijać zarówno w systemie społecznym własności indywidualnej, jak i własności wspólnotowej. Zbawienie własnej duszy może jednostka osiągnąć zarówno posiadając, jak i nie posiadając środków produkcji. Ważnym jest duch, jaki ożywia w danym okresie dzieło ludzkie. Jeśli istotnie ludzkość zdoła się na wyrzeczenie się w założeniu intencji wyzyskiwania słabszych przez silniejszych, to duch ten będzie niewątpliwie duchem chrześcijańskim. Jesteśmy świadomi niedoskonałości ludzkiej i wiemy, że ten ideał nie tak łatwo osiągnąć. Wiemy też że środki, służące dla reform społecznych — są za wodne. Niemniej, ocenając generalnie źródła pobudek, które tym ruchem reformistycznym kierują —

mamy prawo być optymistami jeśli chodzi o przyszłość. Skończył się długi i niepokojący okres, w którym olbrzymia większość ludzkości obojętnym, a co najwyżej bezradnie zaniepokojonym okiem patrzyła na upadek form między ludzkie go współżycia. Dziś patrzy się na tę kwestię ze wzmagającą się wolą dokonania radykalnej na tym odcinku reformy. Duch chrześcijański tkwi potencjalnie w tych usiłowaniach, trzeba go tylko wyzwolić. By to się stało możliwe — chrześcijaństwo musi dokonać wielkiego wysiłku, by problematykę społeczną czasów współczesnych pojąć jak najbardziej szczegółowo i wszechstronnie.

To nie między rzeczywistością a chrześcijaństwem mogą powstawać sprzeczności. Ono bowiem powstało, by każda, dosłownie każda rzeczywistość przybliżyć do Boga. Sprzeczności mogą powstawać tylko pomiędzy naszym ludzkim rozumieniem rzeczywistości, a naszym ludzkim rozumieniem służby idei Chrystusowej. Stąd, przyjmując po prostu naukę Kościoła o służbie idei Chrystusowej — musimy nasze siły intelektualne poświęcić zrozumieniu rzeczywistości w której żyjemy, by stworzyć w sobie pewność, że będzie możliwość dokonania syntezy dwóch prawd — Prawdy Wiary i prawdy społecznej, a nie tylko Prawdy wiary ze społecznymi błędami.

W. Kętrzyński

Czytajcie
„Słowo Powszechne”!

Artur Hutnikiewicz

Próba teorii krytyki

W r. 1948 ukazała się nakładem Śląsko-Dąbrowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk książka Dra Józefa Pietera pod frapującym tytułem „Krytyka dzieł twórczych”. Jako „zarys ramowy, próbny i tymczasowy niektórych problemów krytykoznawstwa” dzieło Pietera jakiejś całkowitej wykończonej w szczegółach teorii nie reprezentuje, ale ma być — w intencji autora — krokiem poważnym wiodącym ku tego rodzaju teoretycznej syntezie. Problem sam jest na tyle ważny, że praca nawet w tak niepełnym kształcie wzbudza

zainteresowanie, tym więcej, że punkt wyjścia rozważań, w przedmowie przedstawiony, wydaje się zupełnie słuszny. Autor wychodzi bowiem z założenia, że utrzymujący się dotąd z uporem w badaniach i ocenach krytycznych impresjonizm i eubiektywizm musi być zastąpiony jakąś metodą obiektywną, opartą na racjonalistycznych przesłankach, i że istnieje — w jego mniemaniu — możliwość ustalenia takich obiektywnych, sprawdzalnych mierników oceny, zastosowalnych do dzieł wszelkiego typu.

Postulaty dra Pietera oparte są na realnych podstawach, świadczą, że autor w sytuacji się orientuje. Wiadomo powszechnie, że stan naszej krytyki, nawet krytyki naukowej, nie przedstawia się różowo. Wystarczy spojrzeć na jeden tylko odcinek: literacki. Mniej lub więcej zawołany subiektywizm i arbitralność sądów są tu zjawiskiem pospolitym. W krytyce o aspiracjach naukowo-poznawczych uprawia się z reguły eklektyzm, żonglerkę pojęciami bez troski o ich ścisłość. Kompozycja, budowa, konstrukcja — to wszystko

pojęcia wymienne. Piszemy o kompozycji eposu, a równocześnie o kompozycji języka (?), stylu, charakterach. Czym jest właściwie ta niebezpieczna kompozycja, jakie wartości artystyczne tym mianem określamy, to nikłt się nie troszczy, w krytyce bowiem, nawet naukowej, panuje irracjonalny, paniczny lęk przed tzw. echematem i szablonem. Tymczasem nauka o literaturze nie stanie się nigdy nauką w ścisłym słowa tego znaczeniu, jeśli nie uzna konieczności posługiwania się systemem ustalonych, ściśle określonych, jedno-

znacznych pojęć „Schemat” i „system” są tu nieuniknionym przeznaczeniem, jeśli badania krytyków literatury mają — prowadzić do wyników zgodnych i sprawdzalnych. Żadna nauka nie może bowiem obyć się bez metody, a metoda to właśnie — w pewnym przynajmniej sensie — szablon i schemat. Lęk przed nimi, płynący z nieuzasadnionego utożsamiania ich z bezdusznym esztyw-nym, rzemieślniczym pedantyzmem, jest o tyle bezpodstawny, że w istocie chodzi o precyzję pojęć, o uporządkowanie zagadnień, o przyjęcie obiektywnych mierników oceny, które ustalić niewątpliwie można.

Książka Pietera ten postulat racjonalizowania i unaukowania krytyki akcentuje na wielu stronach, przy różnych sposobnościach, i wydaje się, że w tym postulatycznym charakterze wywodów tkwi jej największa wartość. Niezależnie od tego, czy zgodzimy się na szczegółowe sądy i propozycje autora, czy uznajemy je za realne i właściwe, samo postawienie zagadnienia nie może budzić sprzeciwów.

Książka całkowicie słuszna w swym merytorycznym założeniu i tendencjach mniej zadowala w szczegółach. Ton i poziom wykładu, zmienny, wahający się między stylem prozy naukowej a publicystyki czy podręcznika, nie pozwala określić zdecydowanie fizjognomii dzieła. Książka naukowa, wyrastająca niby to z przesłanek racjonalistycznych, aspirująca do ścisłości, raz po raz popada w ton referatu. Prognozy autora dotyczące zawrotnych wprost, a — zdaniem jego — niedalekich już perspektyw kultury, pomysły organizacji krytyki graniczą o miedzę z bardzo śmiałym marzeniem. Niektóre znów partie książki, jak np. rozdział poświęcony analizie zjawiska genialności, referujący koncepcje Lombrosa i Kretschmera, dziwi nieco w dziele rozpatrującym zagadnienia teorii, jako że sprawy te dotyczące raczej psychologii i psychopatologii twórczości.

Najfatalniej jednak odbiło się na poziomie wywodów zbytnie rozszerzenie problematyki. Autor chcąc dać ogólną teorię krytyki dzieł twórczych włączył w zakres pojęcia „dzieła twórcze” niemal wszystko. Dziełem jest dla niego nie tylko traktat naukowy, powieść, obraz czy rzeźba, ale także maszyna, narzędzie, środek farmaceutyczny, spółdzielnia czy klub towarzyski. Podejmując się tworzyć teorię krytyki dzieł twórczych tak szeroko pojętych autor bezwiednie skrepełował się nader skutecznie, skazał bezapelacyjnie na poruszanie w ciasnym kręgu komunalnych i elementarnych, powszechnie znanych, a załem zbytnio nieciekawych „praw”. Toteż niektóre rozdziały książki poświęcone rozpatrzeniu konkretnych problemów krytyki, zwiacza krytyki artystycznej i literackiej, grzeszą zbyt rażąco, jak na dzieło naukowe, powierzchownością, a niekiedy po prostu nieznamościami rzeczy. Bo tylko całkowitym brakiem orientacji można np. wytłumaczyć poglądy autora na zadania krytyki literacko-naukowej. Dla Pietera wciąż jeszcze najważniejsze zadania krytyki tej zawierają się w dociekaniach psychologicznych na temat związków między dziełem a psychiką twórcy, w problemach genezy, oryginalności i wpływów, natomiast analiza estetyczna to tylko wstęp do tamtych, właściwych problemów. Takie zapatrywania odpowiadają pojęciom obowiązującym co najmniej 50 lat temu. Wtedy istotnie na genezie, wpływach i anegdotach

TADEUSZ CHRZANOWSKI

Lamenty ludzi nieprzyzwyuczajonych

I.

LAMENT USTĘPLIWEGO PIĘKNODUCHA

Wychodzę z domu co wieczora
aby ochłodzić się w kolorach
których mi skąpi okno.
Najbardziej lubię taki wieczór,
gdy księżyc chodzi niby mieszczuch
i gwiazdy są głęboko.

Przechadzam się z zadartą twarzą —
chmury jak muchy po niej lażą,
potrącam bliźnich — nieostrożny.
Ja idę dalej, ale za mną
bliźni się wielce oburzają
i słyszę protest głośny.

Nie lubię schodzić z pięknych myśli,
lecz skoro ma pretensje bliźni —
i owszem — zaraz schodzę...
a wówczas uwag, żalów, złości
nie szczędzi ów, któremu trącił —
i słowa miota mocne.

Przepraszam grzecznie, cofam się —
a publiczności wkoło śmiech
i trudniej wspiąć się w wieczór.
Więc wracam — smętne pośmiewisko —
a barwy, chociaż rosą blisko,
nikną jakby ich nie czuł.

I aforyzmy składam gorzkie,
że niby dobrze jest — lecz troszkę
wad ma ta ziemia słodka.
Zbyt wielu bowiem wojujących,
zbyt wielu jest ustępujących,
a brak złotego środka!

II.

LAMENT ODERWANEGO HISTORYKA.

Pośrodku czasów wielu
już odległych, lecz wielkich
składam — dziwny zegarmistrz
pogubione ich werki.

Szukam trybów i kółek,
szukam śrubek i sprężyn —
ręka moja — jak wyżeł
w świecie szpargałów wężsy.

Pośrodku czasów wielu
w jednym jedynym czasie
patrzę przez okno w niebo
co budzi się — lub gaśnie.

Patrzę na domy — ludzi —
i sprawy mijające —
a potem... potem wracam
i dalej w dziejach błądzą.

Znów ręce moje weszła
jak para czujnych wyżłów —
znów oczy moje wchodzi
w przeszłość klamiącą przyszłość.

Pobudzam senne werki —
poruszam martwe tryby —
pragnąc jedynie złowić.
ich zapomniane rytmy.

I tylko czasem — z dala
słyszę to czego nie znam —
DZISIAJ — czas nieszukany
dudni po ulic jezdniach.

III.

LAMENT NIEDOGANIAJĄCEGO POETY.

(w kształcie starofrancuskiej ballady).

Hańba tym co się starych słów wyrzekli
i uczuć wiotkich się wyparli!
Pod twe balkony niosą dźwięki
canzony mojej i gitary.
Nuty padają lekką rosą —
rosą tak chłodną jak twe wargi —
i barwne słowa tobie niosą,
których poci się wyparli.

O MARJO — Lizo — Łucjo — wyjdź
na teatralnie wzniosły balkon.
Nad ojcem złym, okrutną matką
księżyc przełartny wpeł przez śmiedź —
i sen nad nimi z płócien grubych,
nie zbudzą ich me śpieszne jęki.
Więc wyjdź i przyjmij w darze nuty,
których się dziś poci zlekli.

Zrzuć kwiat i wpeł urwany gest
zanieś ku swym milczącym ustom,
to będzie najszczęśliwsza wieść
dla mego serca — Lizo — Łucjo!
ZDRADA! — O Łucjo — Lizo — Mario!
Sługa cię wciąga w domu głąb —
w ogrodzie płatnych zbiorów krok —
dobrywam szpady — precz gitaro! —

Przesłanie.

Uciekniemy od rodziców złych —
rozmaita otworzy się droga
przed rumakiem o mordzie buldoga,
który nazywa się — Jeep.

IV.

Pozabijaliście nas — pozabijaliście —
pośpiesznie, niechlujnie zakopaliście —
a teraz — teraz —

bocian,
czarno-biały hydroplan
brodzi po wodach płytkich,
po łakach chodzi grząskich —
i chwytła ostre rybki —
i lyka śliskie kąski.

Pozabijaliście nas — zakopaliście —
odeszliście i zapomnieliście —
a teraz — teraz —

tramwaj
tak jak i przedtem — nadal
przywozi w niedziele z końcowych przystanków
zerwane galezie i śmiesznych kochanków —
a potem rozwozi do zajęcia.
I dzwoni. Krótko jak pamięć.

Pozabijaliście nas — zapomnieliście nas —
ludzie którzy patrzycie na laki,
którzy w tramwajach w niedzielny czas
wieziecie galezie i ciepłe kochanki.
Nic wam o tym nie powie — nic —
a przecież i zaba i rybka i galaz —
wszystko co ginie — chciało
jeszcze trochę — jeszcze chwilę żyć.

biograficznej kończyły się badania, dziś na plan pierwszy wysunęła się wszechstronnie pojęta analiza wartości sztuki. Sens bowiem każdego utworu literackiego zawiera się w jego artystycznej fakturze, w jego zdolności estetycznej oddziaływania. Dzieło artystycznie chybiające jest równocześnie zjawiskiem negatywnym w sensie społecznym, choćby wyrastało z najbardziej wzniosłych lub postępowych idei.

Najistotniejszy miernik wartości widzi autor w oryginalności. Zagadnieniu oryginalności poświęcił też największą część miejsca. Autor podał się tu sugestiom, jakie prawdopodobnie nasunęła mu sytuacja na terenie nauki. Postęp badań w zakresie tzw. nauk ścisłych jest bezwzględnie uzależniony od pojawienia się nowych, śmiałych konstrukcji i rezultatów myśli. W odniesieniu do dzieł sztuki, do dzieł literackich np., zagadnienie oryginalności komplikuje się. Oryginalność integralna jest w tej dziedzinie twórczości właściwie niemożliwa. W zakresie tematyki trudno o jakieś istotne novum. Raczej idzie tu o znalezienie nowego wyrazu artystycznego dla zjawisk sytuacji i wruszeń starych jak świat. Dr Pieter radby mierzyć wartość

dzieł literackich stosunkiem ich do tradycji. Im większa odległość od tradycyjnych kantonów, im silniejsze zwłaszcza przeciwstawienie się modzie aktualnej, tym wyższa — jego zdaniem — wartość dzieła. Nie wydaje się słusne takie stawianie problemu. Dzieła naszych romantyków wykazują np. tysiące związków z tendencjami swego czasu, „duch wieku” rządzi nimi niepodzielnie. Trudno całkowicie wyzwolić się spod nacisku tradycji, i to nie dlatego, że dzieła całkowicie nowe byłoby niezrozumiałe — jak przypuszcza autor — lecz z tej prostej przyczyny, że pewne — dajmy na to — zasady poetyki Arystotelesa, obowiązują dziś jeszcze i będą niewątpliwie obowiązywać w przyszłości, utrzymują się nie siłą tradycji, lecz siłą swej rzeczywistości, wynikają bowiem z samej istoty twórczości literackiej, są jej przyrodzonymi prawami.

Autor zasugerowany ideałem oryginalności wysuwa niekiedy propozycje świadczące o słabej na ogół orientacji w problemach, które usiłuje rozwiązać. Proponuje np. w celu ścisłego ustalenia stopnia oryginalności analizę ilościową wyrazów, proponie „obliczać stosunek słów oryginalnych... do całego słownika, zawartego w danym utworze”. Im więcej słów nowych, niezwykłych, tym wyższa pozycja dzieła danego w hierarchii artystycznej. Pomysł rzeczywiście wyrosł z niezrozumienia istoty literackiego tworzenia. Zawiera się ona w umiejętności kształtowania przedstawianych treści, a nie w dobieraniu nowych i oryginalnych wyrazów. Słowo jest tu tylko istotnym ciałem, lecz w zasadzie wtórnym elementem, narzędziem, środkiem technicznym, znakiem dla wyrażenia myśli, zależnym całkowicie od przedmiotu. Analiza ilościowa słów nie nam o istotnej wartości dzieła nie powie. Artydziela mogą być i są najczęściej pisane prostym, komunikatywnym niemalże językiem codzienności. Utwory odznaczające się wyszukaniem słownictwem i niezwykłą metaforyką przemijają często jak jednodniowe efermerydy, pozostawiając jedynie wspomnienie oryginalnego eksperymentu.

Obok oryginalności drugim decydującym probierzem wartości dzieła każdego — jest użyteczność społeczna. „Społeczna wyrtłość dzieł — powiada on — zasadza się na ich użyteczności w realizacji potrzeb społecznych”. Można by się

ostatecznie zgodzić na tego rodzaju definicję problemu. Jest ona zbyt ogólnikowa, aby mogła budzić jakikolwiek sprzeciw. Ale protesty wywoływać musi dalsza definicja tych właściwości. Autor wychodząc z jakiegoś dziwnie ciasnego, biologicznego punktu widzenia, za najważniejsze, jedynie istotne uważa tylko potrzeby służące zachowaniu istnienia osobniczego w walce o byt. Przy takim postawieniu sprawy sztuce wyznaczono w hierarchii potrzeb miejsce dostojnie ostatnie. Sztuka według Pietera ma służyć tylko „wygodzie”, „upiększeniu” życia, rozrywce. „ma obywatelowi zapewnić wolny czas”. Przeróżający jest ten utylitarizm autora, który zdaje się nie dostrzegać różnicy między powołaniem sztuki, a przeznaczeniem — dajmy na to — cyrku; zapomina czy też nie wie o tym, że sztuka jest też poszukiwaniem prawdy, choć realizuje swe aspiracje poznawcze w sposób odmienny, niż nauka; że jest potrzebą najistotniejszą człowieka, że lansowane dziś szeroko hasła upowszechnienia kultury, uznane za słusne przez wszystkich bez względu na światopoglądowe różnice, płyną nie z chęci zaspokojenia głodu zabawy, lecz są wyrazem zakrojonej szeroko

rewolucji kulturalnej, co doprowadzić ma w statecznym wyniku do takiego stanu rzeczy, w którym człowiek wyzwolony z jarzma nadmiernej pracy będzie miał czas na realizację istotnego swego powołania, wszechstronnego rozwoju osobowości.

Uwagi powyższe dalekie są od wyczerpania przedmiotu. Książka Pietera nasuwa zastrzeżenia i wątpliwości o wiele więcej; jest w licznych miejscach powierzchowna w sądach, nieścisła w definicjach, grzesząca brakiem orientacji w zakresie zagadnień, o których traktuje. W tym stanie rzeczy wydaje się książkę przedwczesną.

Pomysł autora był w zasadzie słuszny i godny realizacji, postawa negatywna wobec stanu współczesnego krytykownawstwa całkowicie uzasadniona, ale wykonanie zawiodło. Dzieło budzące tyle zastrzeżeń i wymagające merytorycznych poprawek i sprostowań, nie może oczywiście dostarczyć materiału do rzeczowej dyskusji. Ale dyskusja taka o zadaniach i metodach krytyki rozpocząć się powinna niezależnie od faktu, że próbę zainicjowania jej przez dra Pietera należy uznać za niezadawalającą.

Artur Hułnikiewicz

K. W. Zawodziński

UCZONA „KSIĄŻKA DO CZYTANIA“

Maria Dłuska „Studia z historii wersyfikacji”, Tom I, Kraków, Nakł. P.A.U., 1948, str. 367.

Książka traktująca przedmiot tak specjalny, suchy i szczerze mówiąc, nudny dla niespecjalistów, wysunięta do zeszłorocznej Nagrody Odrodzenia, nagrody przeznaczonej dla prozy artystycznej — to wygląda na paradoksalne! A jednak to wyróżnienie jest słusne i tym bardziej sprawiedliwe, im większe w samym temacie tkwiły przeszkody do ukazania talentu. Prof. dr M. Dłuska, nie dąży w swej książce do innych celów, prócz czysto naukowych; jej talent pisarski ujawnia się żywiołowo, mimochodem, niezależnie od intencji autorki. Nie spotkamy tu naukowego żargonu, którego łatwym pokusom ulega się przy zetknięciu z teorią literatury; jest to polszczyzna nie tylko poprawna, jasna i zrozumiała, ale nieraz uderzająca istotnymi znamionami prozy artystycznej. Niezwykle argumentacja uczona przemawia swym żarem wewnętrznego przekonania, umiarkowana sarkazmem! Sprawy nad którymi ktoś inny rozwiódłby się na wielu stronicach, uzbijając przeciwko sobie i swej słusznej tezie znużonego czytelnika, tu załatwione są krótko i dowcipnie. Oto np. cytowałoby się wprawdzie, o typowym dla nowej fazy „syllabizmu względności”, określa jego formę autorską ostatnim wierszem cytatu: „Bez zębów, bez oczu, bez smaku, już nic zgola”.

Poza świetnością języka korzystającego w porę z wyrażań potocznych, i ujawnianym gdzie trzeba dowcipem, książka przynęca czytelnika obszernymi, niekiedy przytoczeniami, mówiącymi o autorce, jako o miłośniczce poezji, obdarzonej wielkim smakiem i posiadającej obszerne czytanie. Dzięki niej poznaje się lub zwraca uwagę na takie skarby twórczości na szczeblu średniowiecznej kołysanki „Czemu płaczesz Jezu” — lub przerywając się cztery wieki dalej — refleksyjny liryk tak wgardzonej dziś Konopnickiej „O dniu, co jako pątnik...”; a i dalej umie autorka cytować zbyt mało znanych poetów, żyjących i tworzących w cieniu, jak L. Podhorski - Okołów lub A. Sowiński. Niektóre ustępy, wychodząc po

za granice spraw wersyfikacyjnych, stanowią jakby całkowite opracowanie zagadnień związanych z danym utworem. Tak jest z „Bogurodzicą”. Dłuska podsumowuje z właściwą jej przejrzystością, poglądy poprzedników, wypowiadając własną, umotywowaną doskonale, opinię w tej od dawna trwającej dyskusji. Dzięki tym dygresjom historyczno-literackim, książka mogłaby z równym prawem nosić tytuł „Studia z dziejów poezji polskiej”. Z tym nagłówkiem trafiła by łatwiej do poważnie interesującej się literaturą publiczności, która przyzna, że wyróżnienie książki było słusne, aczkolwiek w jury nie było dostatecznie kompetentnych krytyków do oceny jej wartości z punktu widzenia nauki o wierszu.

Specjalistów w niej jest niewiele, a wśród nich nawet nie wiem, czy jest kto zdolny jednocześnie obracać się swobodnie w zakresie poezji średniowiecznej polskiej, od którego zaczyna na swe badania Dłuska, poświęcając mu znacznie więcej niż połowę książki. Tu też zakłada podwaliny swej teorii, która jednak dopiero zastosowana do bardzo krótko zresztą omówionych dalszych dzieł wiersza polskiego, a raczej tylko 13-zgłoskowca, od Reja do dni naszych, ukazuje swe słabe strony. Istotą tej teorii jest przekonanie, iż budowa wiersza musi być zasygnalizowana odbiorcy słuchowemu, a to mianowicie za pomocą zmian intonacji, związanych z początkiem i końcem zdania, lub jego części składowych. Dopiero u Kochanowskiego, dzięki utrwaleniu się pełnego i ścisłego rymu żeńskiego, intonacja przestaje być środkiem sygnalizującym strukturę wiersza i zaczyna służyć celom ekspresyjnym. W tej krótkiej i bardzo niedokładnej formie, teoria wydaje się niecałkowicie przekonująca; dopiero uważniejsze zastanowienie się nad nią przekonywa, iż jest ufundowana na niepełnej właściwych przesłankach. W ramach niniejszej recenzji trudno jest przeprowadzić szczegółowy „dowód prawdziwości”. Można najwyżej wskazać zasadnicze punkty niezgodności tej teorii z tradycyjnym pojmowaniem podstaw metryki. Samo zresztą to słowo jest przez autorkę zakwestionowane, mimo, że w dość bogatej od lat kilkudziesięciu literaturze przedmiotu zostało przyjęte na określenie podstawowej,

choć skromnej zakresu części nauki o wierszu.

Metryka, w rozumieniu zarówno moim, jak Siedleckiego (w czym idzie mi obaj za przykładem zagranicznym, ze Wschodu i Zachodu, nie stając zresztą w sprzeczności z najbardziej miarodajną, stuletnią już prawie tradycją rodzimą, oznaczającą wiedzę o tych właściwościach wiersza, dzięki którym jedna linia utworu jest równoważna formalnie, drugiej i następnym, tworząc wraz z nimi strukturę „mowy związanej”, pisaną wierszem jednakowym „izometrycznym”. „Metrum” jest więc czymś prostym, łatwym do ekopowania, do praktycznego zastosowania w twórczości i dającym się przenieść „mutatis mutandis”, do innego języka. Tymczasem jak sformułować przystępnie tak, żeby zrozumiał średniowieczny wyrobnik literacki i przeniósł jako gotowy schemat od swego poprzednika, na którym się wzorował, te uczone pojęcia „kadencji”, „antykadencji”, „półkadencji”, „połantykadencji”? A przecież, jak wiadomo, wszystkie niemal wersyfikacje są naśladowane z innych literatur: klasyczna rzymska z greckiej, romańska z późno-lacińskiej, nowożytna -germańska z romańskich, których wzory skrzyżowały się z wpływami antycznymi; nowożytna rosyjska z niemieckiej (po odrzuceniu poprzedniego systemu wersyfikacyjnego, skopionego z poezji polskiej); polska, przy najmniej sylabiczna, jak to przekonująco sama Dłuska w swym pierwszym studium ukazuje — z kościelno-lacińskiej; polska sylabotoniczna, przy najmniej „wiersze miarowe” — pod wpływem wersyfikacji tych krajów, na których się wzorował nasz romantyzm. Wszędzie chodziło o rzeczy proste: policzyć sylaby w odcinkach mowy związanej, ewentualnie zauważyć w nich porządek długi i krótki, czy akcentowanych i nieakcentowanych, zwrócić uwagę na współdziałanie na końcach wierszy. Jedyny teoretyczny komentarz, współczesny początkom naszej wersyfikacji staropolskiej, „sarmackiej”, znany urywek M. Bielskiego, mówi tylko o liczeniu sylab, a w tym prostactwie i niepełnym (gdyż pomija rym i średniówkę) ujęciu, chwycił jednak najistotniejsze dla metryki, stosowane przez siebie i swych współbraci po piórze. Trud-

no przypuścić, żeby „formantem wiersza” dla nich były odcienie intonacyjne. O świadomości ich stosowania oczywiście mowy być nie może; a przypuściwszy nawet istnienie pewnej ilości jednostki z bezbłędnym instynktem, niepodobna wierzyć w stosowanie powszechne chwytu, który nie został uświadomiony; prawda, że uczymy się wszyscy chodzić, choć nas nikt nie uczy, ale przy sportowym traktowaniu chodzenia, biegania czy skoków, musimy opanować świadomie chwyt tej sztuki — podobnie jest ze sztuką słowa, choć język macierzysty opanowujemy nieświadomie.

Wiersz, powstały na zupełnie innych zasadach od mowy praktycznej, a raczej odwiecznie z jej toku wyłoniony, ma znów swoje własne intonacje, o których dr Dłuska milczy. Jej badania, ukazujące stosunek intonacji zdaniowych czy logicznych do granic i budowy wewnętrznej wiersza, są niezmiernie cenne: potwierdzają znaną skądinąd w prymitywnej technice wersyfikatorskiej, zgodność rozczłonkowania składowego z rozczłonkowaniem metrycznym: w następnych zaś częściach pracy ukazują bardzo plastycznie zmiany i rewolucje jakim stosunek tych dwóch rozczłonkowań ulega w różnych twórców i w różnych nurtach poezji polskiej. Rezultaty tych badań przyjęłybyśmy w tej formie z wdzięcznością i bez sporu. Jednak, kiedy chce w miejsce budowy metrycznej, podstawić budowę intonacyjną, musimy tę próbę odrzucić jako okazję do wprowadzenia niebezpiecznego zamętu w prostą, ale u nas jakoś nieumiejącą wyjść na właściwą drogę, dziedzinę teorii literatury. Że groźba zamętu nie leży tylko w dziedzinie przewidywań, ukazuje nam sama książka bardzo drastycznym zdublowaniem znaczenia terminu „średniówka”. Dr Dłuska na przestrzeni całej książki używa raz po raz tego terminu w znaczeniu powszechnie przyjętym, w nowszych czasach zaczynając od M. Rowińskiego, poprzez K. Wójcickiego, J. Łosia, aż do Fr. Siedleckiego i niżej podpisane, to znaczy „stałego miejsca w wierszu, gdzie po określonej liczbie sylab mamy koniec wyrazu gramatycznego”. W związku z tym znaczeniem średniówki, autorka mówi: „trzy nasłogłogowic o formule 7 + 6,

wiersz, którym pisali Rej, Kochanowski, Potocki, Feliński, Mickiewicz, Konopnicka, Tetmajer i tylu innych...” (str. 269). W tym też tylko ścisłym znaczeniu biorąc „średniówkę”, można mówić, jak to wielokrotnie robi autorka, o „przerzutni średniówkowej”; gdyż jeśli jest przerzutnia, musi być coś, przez co dany urywek całości akcentowej czy intonacyjnej przerzucamy; musi być to coś odmiennego od granic tego członu intonacyjnego, czy akcentowego, i tkwić na swym stałym miejscu, niezależnie od właściwości mowy kształtowanej w formę wiersza. Tymczasem, obok tego, autorka nie waha się mówić o „średniówkach zsuniętych”, o 13-zgłoskowcach formy 8 + 5, 5 + 8, i 4 + 9, trafiających się w szeregu, jak sama mówi, „normalnych 13-zgłoskowców 7 + 6”. Otóż pojęcie „średniówki zsuniętej” jest „contradictio in adiecto”. Jeśli to jest „średniówka metryczna” to jest właśnie to „stałe miejsce”. Ale jak widać, autorka chodzi w wierszach średniówkowych o ich dwuczłonowość, a umieszczenie „węzła dwuczłonowości” uważa za rzecz dowolną, wynikającą z właściwości składowych mowy. Inaczej mówiąc dr Dłuska używa słowa „średniówka” w innym jeszcze znaczeniu, które też ma za sobą pewną tradycję: w tem znaczeniu jest to (jak mówiono przed stu laty) „zawieszenie głosu”, „spoczynek myśli”, niezbędny w długim wierszu. Rozumiejąc średniówkę na ten drugi sposób, można dowiedzieć, że w Panu Tadeuszu przypada ona tylko w 60% „normalnie”, po siódmej zgłosce. Ale jest faktem, że nawet odliczając kilka wierszy, w których „średniówka” (w pierwszym znaczeniu) według dr Dłuskiej jest skasowana, w dziesięciu tysiącach blisko reszty wierszy mamy na tem ściśle określonym miejscu „koniec wyrazu gramatycznego”; tak samo w innych 13-zgłoskowcach Mickiewicza, a w milionach, napisanych od Kochanowskiego przynajmniej aż po dni nasze. Chyba nie przypadek, a więc pocóż to robili z takim uporem ci maniacy, ani na chwilę o swej manii nie zapominający? A byli wśród nich tacy, którym można przypisać upór teoretyczny, ale i inni, którzy nic o teorii nie słyszeli, u niektórych zawieszenie głosu „zawsze zgadza się ze średniówką” (w pierwszym znacze-

ów), u innych często odstepuje od normalnego miejsca: jak widać te dwa zjawiska, nazywane tem samym słowem, nie mając nic ze sobą wspólnego, są zjawiskami innego rzędu. Niewątpliwie, badanie ustosunkowania średniówki do „węzła dwudzielności” (który to doskonały termin, stworzony przez Dłuską, oby wszedł w użycie!) jest bardzo ważne i pozwala określić konkretnie charakter wersyfikacji, zależny od indywidualności poety i od nurtu literackiego, do którego należy. Badania te posunęła książka Dłuskiej bardzo wydawnie, ale zamącała rezultaty mieszaniami dwóch pojęć, oznaczanych jednym terminem, co jak każdy błąd logiczny, prowadzi do dalszych błędów.

Jest to bolesna skaza dzieła, dla mnie tem boleśniejsza, że mam osobiste powody życzyć mu powodzenia: w nim bowiem, w bardzo wielu punktach, moje teorie i przypuszczenia znalazły poparcie, a częstokroć i rozszerzenie bardzo ważnymi argumen-

tami; i to właśnie te moje tezy, które się spotykały dotąd z największą opozycją, których nowatorstwo przeczyło nawykowi stuletniego przeszło pojmowania wiersza polskiego, stosowanemu zawsze bez rozróżnienia historycznych jego przemian. Przede wszystkim teoria „atoniczności wiersza staropolskiego została przyjęta wraz z jej poszczególnymi konsekwencjami, do których należy zapanowanie rymu żeńskiego, niezależnie od ustalenia akcentu w rymie, przyczem nierównoprzeciskowość rymów, zdaniem Dłuskiej, przetrwała aż do początku XIX w., znacznie więc dłużej niż ja pierwotnie dopuszczałem. W związku z przyjęciem czystego sylabizmu wiersza staropolskiego, autorka zajęła stanowisko po mojej stronie w długotrwałym sporze przedwojennym pomiędzy mną a Siedleckim, wysuwającym teorię „transakcentacji metrycznej”. Dłuska, pomimo uznania zasług Siedleckiego w dziedzinie nauki i pomimo wrzeszczącego hołdu przyjaźni, złożonego jego pamięci, postępuje w myśl

zasady „amicus Plato, sed magis amica veritas”. Z bystrością rozszedła, którego dowody niejednokrotnie składa w swej książce, bardzo często łączy jego nazwisko z moim, przeciwstawiając nas obu swojemu punktowi widzenia. Pozory energicznej polemiki nie potrafiły oszukać jej przenikliwości: rozumiała dobrze, że pomimo dzielących nas w poszczególnych kwestiach różnic, obaj w gruncie rzeczy byliśmy „metrykami” i walczyliśmy o swoje poglądy w obrębie wyraźnie zakreślonych przez metrykę zagadnień. Dłuska wychodzi poza nie; jej badania tak ważne i pełne niepospolitej erudycji zostałyby przez nas obu przyjęte z wdzięcznością, gdyby nie próby wkroczenia w dziedzinę metryki z narzędziami jej niewłaściwymi i powiększającymi terminologicznie, conajmniej, zamęt w tej podstawowej i elementarnej części nauki o wierszu. Błąd ten jednak okupują wskazane już zalety uczonego a interesującego dzieła.

K. W. Zawodziński

JULIUSZ NOWAK-DŁUŻEWSKI

Antologia poezji ariańskiej

Prace Aleksandra Brücknera („Różnowiercy polscy”), Stanisława Kota („Ideologia polityczna i społeczna braci polskich, zwanych arianami”), Ludwika Chmaja („Samuel Przypkowski”) i Konrada Górskiego („Grzegorz Paweł z Brzezina”, „Studia nad dziejami polskiej literatury antytrynitarskiej XVI w”) posunęły u nas znakomicie sprawę znajomości teologii, filozofii i ideologii polityczno - społecznej odłamu reformatorów religijnych w Polsce, którzy wyprzedzili z kalwinizmu, stanowią ostatnie i skrajne stadium ewolucyjne reformacji polskiej na gruncie Małopolski i Litwy.

Poezja tego odłamu reformacji, czynnego i twórczego kulturalnie w w. XVI i XVII, znana była głównie z ogłoszonej przez Brücknera sywy literackiej Trembeckiego „Wirydarz poetycki”, częściowo z innych źródeł, jak licznych studiów w „Reformacji w Polsce”, rozprawy Zofii Mianowskiej o Zb. Morsztynie i in. Dr Jan Dürr - Durski daje pierwszy wybór tej poezji, pieczołowicie zestawiony i wybrany z wszelkich dostępnych źródeł drukowanych i rękopiśmiennych „Ariane polscy w świetle własnej poezji. Zarys ideologii i wybór wierszy”. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Warszawa 1948). Antologia ariańska rozbija przesąd, jakoby treść ideologiczna natury religijnej czy polityczno - społecznej miała szkodzić wartości artystycznej utworu poetyckiego. Zawiera ona wiele utworów poetyckich, które trzeba zaliczyć do trwałego dorobku poezji polskiej w. XVI i XVII. Poza znanymi na ogół lirykami Wacława Potockiego, wyjętymi z „Moralii” i „Ogrodu fraszek” tego poety, mamy w antologii po raz pierwszy ogłoszony z rękopisu interesujący tren tego poety na śmierć żony („Smutne rozstanie z kochaną małżonką moją”) Jest to niewątpliwie wiersz Potockiego ze względu na specyficzny i niepowtarzalny jego styl. Wiersz odsłania nam ciekawe cechy wybitnej na swój czas kobiety, współpracownicy literackiej swego męża i niezłego chyba teologa, jeżeli mogła przez parę lat pełnić obowiązki kaznodziei po odejściu z Łuźnej swego krewnego A. Wiszowatego. Nie dzieliłbym jednak z wydawcą przesądno entuzjazmu dla formy „Smutnego rozstania”: zbyt jest uczony, zbyt racjonalizowany. Trzeba ogólnie powiedzieć, że intelektualizm poezji ariańskiej jest dość poważnym dla niej obciążeniem natury artystycznej z wyjątkiem Z. Morsztyna. Dzięki niemu nie zawsze dochodzą do należytego głosu emocjonalne strony ludzkiej osobowości. Poza lirykami Potockiego do cenniejszych pozycji antologii należą „Mo-

dłitywy nabożne” Stoińskiego) przedrukowane przez wydawcę z unikatów British Museum, znane dotychczas z wyjątków, drukowanych przez Sobieskiego w „Reformacji w Polsce”). Zaimponowały od razu Brücknerowi, skoro się z nimi zapoznał — i dziś nam imponują swą szczerolotą polszczyzną, czystą i klarowną (już Potocki skarży się na makaronizmy), nieskazanym tokiem zdań, scharmonizowanym w sobie układem.

Do wielkich osiągnięć natury literackiej dochodzi Zbigniew Morsztyn, ceniony już przez Brücknera „poeta obozowy”. Zastanawiały już niektóre jego liryki, ogłoszone w „Wirydarzu”. Udostępnione teraz przez dra Dürr - Durskiego jego „Emblemmata” rozszerzają nasze o Z. Morsztynie wiadomości. Kiedy poznamy zapowiedziane przez wydawcę wszystkie utwory Z. Morsztyna, może wypadnie poczynić na gruncie poezji w. XVII pewne przesunięcia hierarchiczne. Jest to poeta o największej w. XVII obok W. Kochowskiego kulturze literackiej. Stylistą jest lepszym od W. Potockiego i lepszym chyba od niego artystą, choć mniejszym — tu nie ma wątpliwości — od Potockiego poetą. Z. Morsztyn jest zresztą jedynym na gruncie w. XVII — obok Andrzeja Morsztyna — poetą, u którego tzw. styl barokowy dochodzi do pełniejszego wyrazu literackiego.

Drużyna ariańska miała w swych szeregach dzielnych poetów, niegorszych od poetów ze środowiska katolickiego. Poza Morsztynem wielką kulturę językową miał Stoiński. W epoce, w której zaczęto zapominać już o Kochanowskim, (wiemy o tym choćby od Kochowskiego), poeci ariańscy składają temu geniuszowi literackiemu świadomy hołd. Żywa jest wśród nich tradycja Piotra Kochanowskiego. Tłumacza Tassa i Ariosta. Gładki tren Morsztyna na śmierć Trembeckiego jest dowodem szlachetnej i udanej rywalizacji z tremami Jana Kochanowskiego. A już „Hymn o Bogu” Kochanowskiego powtarza się w rozmaitych wersjach ariańskich — u tegoż Morsztyna, u Grzegorza Pawła z Brzezina i in. Frazeologię J. Kochanowskiego widać w „Pieśni wieczornej” anonimowa.

Najmocniejsze piętno wybił na poezji arian polskich „Psalterz Dawidowy” w wersji oryginalnej i wersji Kochanowskiego, sprawa stosunku arian do tych dwu literackich ich podmiotów wy maga specjalnego opracowania. Psalterz pociągał arian znakomita formą literacką, w jakiej go opracował Kochanowski. Znane jest ogólnie znaczenie tego utworu w rozwoju poezji polskiej: żaden utwór w. XVI nie wywarł

tak wielkiego na nią wpływu jak „Psalterz Dawidowy”. Uporczywie „czepianie się” przez arian tego utworu tłumaczy się jeszcze innymi względami — natury pozaliterackiej. Znaleźli oni w „Psalterzu” racjonalistyczną koncepcję Boga, która się stała ośrodkiem ich dogmatyki. Znaleźli w nim bliską sobie atmosferę uczuciową „Małe stadko” arian polskich doszukiwało się w psalterzu łatwej analogii między sobą a Zydami, którzy również odczuwali obcość w morzu nieprzyjaciół, ich otaczających. Psalterz biblijny i Kochanowskiego są więc utworami o wielokrotnej dla antytrynitarzy polskich aktualności. Stąd te liczne jego interpretacje poetyckie, które odnajdujemy w antologii omawianej. Interpretacje te odpowiadają na ogół technice literackiej psalterza: technice oderwanych pojęć i wyobrażeń, które nie czują upodobania do konkretności. Dlatego właśnie ta poezja tak mało mówi o konkretnych sytuacjach życiowych arian, mniej, niż by tego chciał sam wydawca. Nawet w tak bogatym w realia utworze, jak „Komparacja łakomce z wieprzem karmnym” A. Lubienieckiego mamy ciekawe dla tych konsekwentnych wszędzie racjonalistów uogólnienia pojęciowe, widoczne w końcowych antynomiiach moralistycznych tego utworu, które nam żywo przypominają dukt literacki jednej z satyr Krasickiego. Nie będzie hercją takie stwierdzenie w stosunku do antytrynitarzy polskich, którzy byli przecie prekursorami Oświecenia. Nie wszystko w antologii jest tak interesujące pod względem literackim. Nikt się dzisiaj nie będzie zachwycał poezjami Grzegorza Pawła, które są niedołączniejsze od współczesnych utworów Reja. Słaby jest Marcin Czechowicz w porównaniu choćby z Erazmem Otwinowskim. Ale i te wiersze powinny być się znaleźć w antologii, jeżeli miała ona dać świadectwo prawdziwie historyczno - literackiej.

Obiema rękoma podpisuje się pod uwagami wydawcy, który podkreśla we wstępie, że nie można do utworów polskiej literatury w. XVII stosować dzisiejszych kryteriów estetycznych, że w ich ocenie trzeba stać na jedynie słusznym stanowisku: stanowisku historycznym. Wiemy z praktyki niektórych historyków literatury, że chcieliby miarą osiągnięć np. Kasprowicza wymierzyć wysiłek twórczy np. Wacława Potockiego. Tacy historycy literatury odsadzą od wartości utwory Grzegorza Pawła, Czechowicza i Otwinowskiego, nazwa je nieporozumieniem, ale nie będzie to sąd słuszny i sprawiedliwy z punktu widzenia ściśle naukowego, historyczno - literackiego.

(Dokończenie na stronie 9).

JERZY KIERST

Światło na dłoni

I rzekł im: Oddajcież tedy, co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest Bożego. Bogu. I nie mogli zganić słowa jego przed ludem... (Lukasz 20)

*To w jednym, ludzkim sercu
jest ujście dwóch wielkich rzek,
zamieniających chłód i srebro
na ból i krew.*

*Podchodzi jedna pod miasto,
gdzie liny i dźwigary,
gdzie ludzi pilne ptactwo
w obłokach pary.*

*Czy Jeruzalem to, gdzie świątynia
i cesarstwo w skwarze splekane,
czy z morza jak Wenus Gdynia?
Czy Warszawy to zmartwychwstanie?*

*Ta pierwsza manifestem
czerwonym zapala horyzont...
gdy słońce jak okrzyki: jestem!
o wschodzie do walki wzywa.*

*Tu prawo — stalowa lina,
na której wagon w powietrzu,
liść — rzekłbyś — a liść ten odgina
brzeg perłom zamkniętym we wnętrzu.*

*Zagarnę cię nurtem i stalą — ...
oto tryskają nad ciemność
syreny, co w świetle się palą
jak białe drzewa wiosenne.*

*Uchylam wnętrza ziemi:
tam paproć w węglu trwa —
to prawo jest korzeni
poprzez warstwiec lat.*

*Pod Jeruzalem to, pod miasto
podchodzi druga rzeka,
tej rzeki perłowa jasność
przez palce wierzb przecieka.*

*Podchodzi pod czarny szkielet,
gdy liny napręża dźwig —
jej niebieskawy szelest
pochłania zębaty zgrzyt.*

*Ta druga zarannym manifestem,
zapala nocy kwiat,
gdy słońce jak Boże „Jestem“!
miłością przeświecła świat.*

*Z wagonów czarne perły
spadają w szkatułę okrętu,
by pracę przeciw śmierci
przemienić w świętość.*

*Ziemię jak skrzynię stworzę,
gdzie na dnie światłości bryły,
nad nią wiatr zgina jak brzozę
dźwig w śpiewie stalowej liny.*

*Nieba uchylę przełęczą:
tam prawdy przelot
i prawo, co gwiazdą wieńczy
zaczęte w kopalni dzieło.*

*W zdyszonym, ludzkim sercu
ujście dwóch wielkich rzek,
zamieniających chłód i srebro
na ból i krew.*

*W którą z nich rzucę pieniądź,
zaślubin wotum?
Obie się w słońcu mienią.
W głębi niepokój...*

*Burzy się miasto. W ciemnych kłębach
dygocą łodzie, samoloty.
Kotwica sięga coraz głębiej,
a skrzydło wyżej w pyle złotym.*

*Jeruzalem to jak psalm Dawida —
po zaułkach szachrują i kraczą.
Lecz nadchodzi... Światłość już widać
poprzez ścianę gniewu i płaczu.*

*Aby rzeki dwie zbliżyć dwudźwiękiem
jak dwie struny na lutni psalmisty,
aby serce z wątplenia skrętów
życiu wrócić mocne i czyste.*

*Oto głowa uchylona w światło.
Górą dźwiga wyniosłe ramię.
Dołem rzeka z rzeką się gmatwa.
Jam jest. Ufasz mi, czy kłamiesz?*

*Oto denar świeci na dłoni,
tam gdzie wkrótce gwóźdz:
co cesarskie cesarzowi,
Bogu boskie, zaprawdę, zwróc.*

TYDZIEŃ KULTURALNY

PROGRAM ROKU PUSZKINOWSKIEGO

Ustalony przez Komitet Roku Puszkina program imprez związanych ze 150 rocznicą urodzin Puszkina obejmuje m. innymi: Centralną Akademię w Teatrze Polskim w dniu 4 czerwca 1949 r.: uroczyste przedstawienie opery „Eugeniusz Oniegin” (czerwiec); przedstawienie w Państwowym Teatrze Polskim obejmujące „Borysa Godunowa” i kilka jeszcze mniejszych utworów wielkiego poety (czerwiec); gościnne występy Teatru Rapsodycznego z montażem Puszkina — Mickiewicz oraz „Eugeniuszem Onieginem” i „Panem Tadeuszem”; wielki koncert symfoniczny w Filharmonii Stołecznej ku czci Puszkina (muzyka rosyjska osnuta na dziełach utworów Puszkina lub komponowanych na cześć Puszkina); wieczór wokalny - literacki, poświęcony twórczości Puszkina.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje akcja wydawnicza, która obejmuje: Jubileuszowe wydanie dzieł Aleksandra Puszkina w 6 tomach. W r. 1949 ukaza się 2 tomy — reszta w następnym roku: tom pism wybranych A. Puszkina („Książka i Wiedza”); proza Puszkina („Książka i Wiedza”); wznowienie „Lutni” Puszkina w przekładzie Tuwima („Czytelnik”); powieść dla młodzieży „Córka kapitana” („Książka i Wiedza” i wyd. W. Bąka w Łodzi) oraz „Dubrowski” — (Nasza Księgarnia”).

Bajka Puszkina dla dzieci „Rybak i rybak” w tłum. Tuwima („Książka i Wiedza”), „Bajki” Puszkina z ilustracjami grafików polskich lub rosyjskich malarzy ludowych, tzw. „Palechowców” („Nasza Księgarnia”); zbiorek poezji „Wiersze i bajki” — opracowany jako lektura szkolna (PZWS); powieści biograficzne o Puszkine: L. Grossmana „Śmierć poety” i Tymiana „Puszkina”; bibliografię przekładów polskich dzieł Puszkina w opracowaniu M. Toporowskiego (PIW), zbiór pieśni muzyków rosyjskich, opartych na tekstach Puszkina pt. „Puszkina w pieśni” (P. Wyd. Muz.).

Plan wydawniczy projektuje poza tym wydanie zbiorowe przekładów polskich, powstałych w roku jubileuszowym 1949 — 50 pt. „Poeci Polski Ludowej — w hołdzie A. Puszkiniowi”.

W przygotowaniu są też różne opracowania krytyczno - literackie.

WYBOR REKTORA AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH

Rada profesorów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie wybrała rektorem na rok akademicki 1949 — 50 prof. Zbigniewa Pronaszko.

Prorektorem wybrany został prof. Jerzy Fedkowicz.

PRAWYKONANIE „SYMFOII WIEJSKIEJ”

W ramach Festiwalu Polskiej Muzyki Ludowej odbył się dnia 13 bm. w

Filharmonii Stołecznej Koncert Symfoniczny orkiestry Filharmonii, pod dyrekcją Andrzeja Panufnika.

Głównym punktem programu było prawykonanie „Symfonii wiejskiej” Panufnika — utworu specjalnie skomponowanego na Festiwal, na zamówienie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Dzieło to uzyskało pierwszą nagrodę Prezesa Rady Ministrów na konkursie, ogłoszonym przez Komitet Roku Chopinowskiego i Związek Kompozytorów Polskich, dla uczczenia 100 rocznicy zgonu Chopina.

Symfonia napisana jest na osiem instrumentów dętych i dwie orkiestry smyczkowe. Utwór oparty na kurpiowskich motywach ludowych odznacza się jasną tematyką i przystępną formą.

JUBILEUSZ 40-LECIA PRACY ARTYSTYCZNEJ

W dniu 17 maja 1949 r. w Teatrze Powszechnym odbył się jubileusz 40-lecia pracy artystycznej Jana Kochanowicza. Artysta wystąpił w roli Sartoriusa w sztuce G. B. Shawa „Szczygły zaulek”.

BR. DĄBROWSKI DYREKTOREM CZTERECH SCEN KRAKOWSKICH

Dyr. Br. Dąbrowski został mianowany naczelnym dyrektorem i kierownikiem artystycznym czterech scen krakowskich, a to: Teatru im. J. Słowackiego, obydwu scen w Starym Teatrze oraz Teatru Muzycznego przy ul. Lubickiej.

Wiadomość tę społeczeństwo Krakowa przyjmuje z żywym zadowoleniem, ponieważ dyr. Dąbrowski podniósł po-

ziom teatrów krakowskich bardzo wysoko i wysunął teatry krakowskie na czołowe miejsca w kulturze teatralnej Polski.

KRAKOW KU CZCI J. SŁOWACKIEGO

W auli U.J. odbyła się 14 bm. staraniem dwóch najwyższych instytucji naukowych w Krakowie, Polskiej Akademii Umiejętności i Uniwersytetu Jagiellońskiego, akademis ku uczczeniu 100-lecia śmierci J. Słowackiego.

Uroczystość zagałi prezes PAU prof. dr. Nitsch, po czym referaty na temat twórczości poety wygłosili prof. U.J. dr. Stanisław Pigof i prof. U.J. dr. Kazimierz Wyka.

NOC CZTERECH WIESZCZÓW

Sekcja Imprez Komitetów Wykonawczych Roku Mickiewicza i Roku Słowackiego, w celu wspólnego uczczenia zbiegających się w roku bieżącym rocznic: 150-lecia urodzin Adama Mickiewicza, 100-lecia śmierci Juliusza Słowackiego, 150-lecia urodzin Aleksandra Puszkina i 100-lecia śmierci Fryderyka Chopina, organizuje w Noc Świętojańską z 23 na 24-czerwca br. na Wiśle wielkie widowisko pt. „Noc czterech wieszczów”.

BADANIA NAD SZTUKĄ LUDOWĄ

Akcja obozowa Związku Kół Historyków Sztuki Studentów Wyższych Uczelni Polskich obejmie również prowadzenie na większą skalę badań nad sztuką ludową. Organizację tej akcji, stanowiącej jeden z działów pracy obozowej, obejmie Państwowy Instytut Badania Sztuki Ludowej. Badania obejmą następujące działy sztuki ludowej:

budownictwo, zdobnictwo (tkactwo, kielimkarstwo, hafciarstwo, wycinanki i ceramika), literaturę i obrzędy, muzykę i tańce oraz rzeźbę i malarstwo.

W związku z tymi badaniami na obozy zaproszeni będą wydelegowani przez Instytut fachowcy: muzycy, etnografowie i malarze oraz studenci tych specjalności.

ZMIANY W TEATRACH

Władysław Krosnowiecki, dotychczasowy dyrektor Państw. Teatru Śląskiego w Katowicach, a uprzednio Teatru w Łodzi obejmuje w nowym sezonie dyrekcję będącego w odbudowie dawnego Teatru Narodowego.

Kierownictwo artystyczne Teatru Klasycznego pod dyrekcją Marii Gorczyńskiej obejmuje w nowym sezonie Erwin Axer.

W Bydgoszczy powstaje przedsiębiorstwo państwowe pn. „Państwowy Teatr Ziemi Pomorskiej w Bydgoszczy”. Przedsiębiorstwo to obejmuje dwa stałe teatry w Bydgoszczy i Toruniu oraz teatry w Grudziądzu, Włocławku i Inowrocławiu.

Dyrektorem Państwowego Teatru Ziemi Pomorskiej mianowany został Aleksander Rodziewicz, dotychczasowy dyrektor teatru w Toruniu. Dotychczasowy dyrektor Teatru Miejskiego w Bydgoszczy, Aleksander Gassowski mianowany został dyrektorem Państwowego Teatru w Bielsku.

Dotychczasowy dyrektor teatru w Bielsku Kwaskowski objąć ma teatry „Wybrzeże” Ivo Gall według półoficjalnych komunikatów przejmie od Schillera Teatr Wojska Polskiego w Łodzi. Do Katowic na stanowisko dyrektora Państwowego Teatru Śląskiego przejdzie ma z Krakowa Woźnik.

JEAN COCTEAU

Czy mnie słyszycie?

*Francjo zielona i wspaniała
co wino i kobiety rodzisz,
jakich nie wyda żadna z rodzin
Narodów Europy całej.—*

*Gdy Cię opiewam na swój sposób
Każdy odwraca się i kpi
Ale epoki nadejdą dni
Ze posłuchają mego głosu.*

*I ten, co ciągle drwić był rad
i paczył myśli nie najszczerze
Zrozumie nagle, że te wiersze
Głosły zawsze tylko ład.*

*I przyjaciele będzie wiernym
Mówiąc: czyż taki błąd jedyny
Cięży tu na nim, że on rymy
Kładł w środku i na końcu wierszy?*

*Smialo! Ronsard niech Cię prowadzi
Bo on zwycięża przez to śmierć,
Że serce przebił różą cieni,
Dlatego— moje pióro krwawi.*

*Człowieka nie porywa głos
Słowika, który śpiewa za dnia
Lecz wzrusza cisza go cmentarna
I serce rozsypane w proch.*

Przez Ciebie jestem

*Przez Ciebie jestem w sercu ciemności,
która się staje światłem —
przez Ciebie jestem w sercu wszystkich rzeczy,
wszystkich ludzkich spraw,
przez Ciebie widzę wyraźniej:
widzę najprościej.*

*Przez Ciebie dotyk powietrza — pióro aniołów
srebrnych*

*zelenie leśne chwijące w łagodny prąd,
przez Ciebie zdjęty ciężar ogromny z ludzkich rąk
i zamieniony w płomień katedry.*

*W sercu ciemności,
która się staje światłem —
w sercu nocy i dnia,
w sercu wszystkiego:
w sercu stokrotki
rozkwitającej w uśmiech gwiazd.*

Przełożył — Bogdan Ostromecki

Rok Chopinowski 1949

W dniu 16 maja br. odbył się Koncert Chopinowski w londyńskim pałacu Stafford House, w którym Chopin koncertował 101 lat temu. Wykonawcą utworów Chopina był pianista Stanisław Szpilowski.

Podczas, gdy koncert w Stafford House przeznaczony był tylko dla zaproszonych gości, w dniu 17 października, w rocznicę śmierci Chopina, w jednej z największych na świecie sal koncertowych, londyńskim Albert Hall odbędzie się popularny Koncert Chopinowski. Weźmie w nim udział słynny pianista francuski Casadesus. Ceny biletów na ten koncert będą specjalnie niższe.

Obydwa koncerty organizowane są przez Instytut Polski w Londynie.

W czasie trwania Roku Chopinowskiego odbędzie się w Anglii jeszcze szereg innych koncertów i uroczystości chopinowskich.

**

W Rumunii ukończył się Komitet Chopinowski. W skład Komitetu wchodzi: Przewodniczący Rumuńskiej Akademii Nauk prof. Savulescu, minister Sztuki i Informacji Edward Mezincescu, minister Oświecenia Publicznego Popescu - Doreanu, charge d'affaires ambasady RP. w Bukareszcie — Tadeusz Findziński i inni.

**

W Rio de Janeiro zakończył się eliminacyjny konkurs chopinowski przed międzynarodowym konkursem w Warszawie.

W sali Teatru Miejskiego w obecności posła RP i brazylijskiego ministra oświaty oraz 2-tysięcznej publiczności wystąpiło 4 pianistów brazylijskich, którzy wykonali z orkiestrą Koncerty fortepianowe Chopina.

Laureatem konkursu został Orlando de Almeida. Następne miejsca zajęły: Carmen Adnest, Gloria Maria Fonseca-Costa oraz Vera Cruz Rietznauer.

**



Program imprez chopinowskich w Finlandii przewiduje we wrześniu br. konkurs dla młodych fińskich chopinistów. W dniu 9 października br. odbędzie się w Helsinkach uroczysty koncert pod protektoratem prezydenta Paaskivi. Koncert będzie transmitowany przez wszystkie rozgłośnie radia fińskiego.

W dniu 10 października br. odbędzie się w Domu Robotniczym chopinowski koncert popularny dla robotników. Ponadto projektuje się: wznowienie „Lata w Nohant” J. Iwaszkiewicza w fińskim Teatrze Narodowym, nadanie słuchowiska o Chopinie w fińskim Radio, wyświetlenie krótkometrażówki o Chopinie oraz zorganizowanie wieczoru chopinowskiego dla młodzieży.

**

Biuro Komitetu Roku Chopinowskiego w Warszawie otrzymało z Paryża podziękowanie za przesłanie nieznanego i mało znanego utworu Chopina. Utwory te będą wykonane publicznie, w czerwcu br. na koncercie zorganizowanym przez Marguerite Long.

**

W radzieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech ukończył się Komitet Roku Chopinowskiego. Na jego czele stanął wybitny muzyk niemiecki Klempner.

Polskie Towarzystwo Muzyczne wydało ostatnio 3 prace, które zostały wy-

różnione na konkursie na utwór chóralny ku czci Chopina. Pracami tymi są: 1. Zbigniewa Pruszyńskiego „Cień Chopina” utwór na chór męski, 2. Jerzego Młodziejewskiego „Kantata o wielkości” — na chór męski i 3. Tadeusza Paciorkiewicza „Z pieśni Chopinowskich” na chór mieszany.

**

W stolicy Meksyku odbyły się staraniem Komitetu Roku Chopinowskiego dwa recitale sławnej pianistki Angeliki Morales.

Równocześnie rozpoczął się eliminacyjny konkurs Chopinowski przed międzynarodowym konkursem w Warszawie. W konkursie bierze udział kilku wybitnych młodych pianistów.

Meksykańskie Ministerstwo Oświaty ustanowiło nagrodę w wysokości 1.000 dolarów (5 tysięcy pesetów), a Poselstwo Polskie pokryje koszty podróży do Polski laureata tej nagrody.

Ponadto w meksykańskiej szkole im. Curie - Skłodowskiej zorganizowany został konkurs rysunków na temat Roku Chopinowskiego.

**

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Belgijskiej zorganizowało wycieczkę zbiorową do zamku Georges Sand w Nohant, gdzie pozostały pamiątki po Fryderyku Chopinie.

**

W ramach Roku Chopinowskiego odbyła się w Oslo uroczysta akademii, urządzona dla norweskiej młodzieży szkolnej i akademickiej.

W części koncertowej akademii wystąpiła z recitalem chopinowskim młoda pianistka polska Regina Smendzianka, laureatka konkursu eliminacyjnego w Warszawie. Występ pianistki polskiej spotkał się z gorącym przyjęciem młodzieży oraz zyskał duże uznanie miejscowych kół muzycznych.

Smendzianka wystąpi również na drugim koncercie, organizowanym dla młodzieży pracującej.

F I L M

Epilog pewnego listu

W styczniu 1948 roku, w trzecim numerze „Kuznicy” ukazał się list w którym Zółkiewska i Kott — autorzy pierwszego scenariusza „Drukarni na Grzybowskiej” — pisząc że nie biorą odpowiedzialności za ten film, stwierdzili m. in.: „Tymczasem wbrew naszej woli przyszły reżyser filmu ob. Antoni Bohdziewicz wprowadził do scenariusza daleko idące zmiany, które całkowicie wypaczają sens ideowy filmu i obniżają jego wartość artystyczną. Następnie „Film Polski” mimo naszego kategorycznego sprzeciwu zamówił do naszego filmu dialogi u osoby trzeciej nie uważając nawet za wskazane uzgodnić z nami osoby autora. W obawie że „Drukarnia na Grzybowskiej” stanie się trzecią kompromitacją polskiego filmu po „Zakazanych piosenkach” i „Jasnym Łanach” chcemy zwrócić uwagę czytelników miarodajnych i opinii publicznej na całkowite lekceważenie praw pisarzy przez „Film Polski”

Pod zmienionym, upatycznionym tytułem „Za wami pójdą inni” (z góry już narzucającym widzowi końcową pointę i odbierającym mu przyjemność samodzielnego wnioskowania) zobaczyliśmy wreszcie długo oczekiwany film. Założenia są bardzo ambitne — pokazać przekrój całego społeczeństwa okupacyjnego, wyczerpać temat jak najbardziej, nie pozostawiać nieodpowiedzi. Widzieliśmy niedawno obraz włoski („Rzym miasto otwarte”) w którym efekt ten osiągnięty został przez ukazanie kilku typowych postaw wobec okupanta, skupienie akcji wokół nich. W filmie polskim nadmiar (niezależnie od wątków) wyraźnie uniemożliwia osiągnięcia jednolitości, rozsada ramy filmu. Widzimy szereg scen zaskakujących nieraz powiązaniem, publiczność gubi się, przestaje rozumieć. Nie tylko widz zresztą, recenzent również. W „Odrodzeniu” Tadeusz Konwicki przytaczając przykłady zastanawia się: „dlaczego film sprawia wrażenie chaotycznie posklejanych scen i nie zawsze jest zrozumiały po jednorazowym obejrzeniu. Widziałem go dwa razy” — pisze — „i dopiero przy drugim — rozumiejąc intencje reżysera — mogłem ocenić jego niewątpliwą wartość”.

Otóż tu leży punkt ciężkości zagadnienia. Film jest niezrozumiały nie dlatego że jest trudny (i nie dlatego że sprawia wrażenie chaotycznego) ale dlatego że jest chaotyczny. Ze nie wystarczy analiza bezpośredniego samego filmu — trzeba dopiero sięgnąć aż do intencji (!) reżysera aby móc zrozumieć. Niestety intencje to dopiero zarddek filmu.

W czym leży wartość filmu? W jego swawolności ideowej. Podczas wyświetlania chwilami odnosi się jednak wrażenie że realizatorzy zapomnieli, że film jest nie tylko środkiem oddziaływania społecznego — że jest również sztuką i wymaga zadośćuczynienia jej chociażby podstawowym zasadom. Rozróżnienie elementów „treści” od „formy” jest sztuczne. W rzeczywistości nie istnieje ono w sztuce filmowej i nie możemy oceniać miarą tylko jednego z nich. Tylko film o wysokim poziomie artystycznym spełni swoje zadanie społeczne — tylko taki ma dostateczną wymowę. Temat pozostawia olbrzymie pole do popisu. Wystarczy jednak porównać „Za wami pójdą inni” z poprzednio nakreślonym, o podobnej problematyce, „Ostatnim etapem” by zorientować się w różnicy dzielącej te dwa filmy. Słusznie pisze recenzent „Życia Warszawy” że założenia scenariusza („według dostarczonego pomyślnie”) którego autorami są Dembowska i Bohdziewicz, i reżysera (Bohdziewicza) wypadły niezbyt fortunnie.

W czym leży główny błąd filmu? Nie w obsadzie aktorskiej, która spełnia swoje zadanie z powodzeniem, nie w poszczególnych scenach, które niejednokrotnie mają wysoki poziom, ale w kompozycji filmu jako całości — a raczej jej braku, w szeregu różnych niekonsekwencji i niedociągnięć. W roku 1949, po ukazaniu nam szeregu obrazów długometrażowych sądzimy, że okres niemowlęctwa minął i wymagamy od filmu polskiego nie tylko dobrej gry aktorskiej i dobrej roboty krótkometrażowej (poszczególne sceny, fotografia) ale oczekujemy w filmie pełnometrażowym jasnych założeń, konsekwentnej przemyślanej budowy i logicznego rozwiązania. Tymczasem tu mamy historię drukarni na Grzybowskiej, łapanki, sceny z życia różnych grup społeczeństwa polskiego, martyrologię żydów, partyzantkę, egzekucje — przy czym niewiadomo który z tych wątków jest zasadniczy. Film oscyluje pomiędzy filmem artystycznym i dokumentarnym, chwilami przypomina luźno powiązane fragmenty ja-

kiej odtworzonej na podstawie oryginalnych dokumentów kroniki filmowej z czasów okupacji. W koncepcji realizatorów widać jakąś ambicję stworzenia epopei okupacyjnej — tymczasem ciężar filmu spoczywa na poszczególnych epizodach. Film nie daje konstruktywnej syntez.

Brak jasnego kośca dramatycznego jest powodem, że kilka środkowych momentów w których rolę grają efekty filmowe (zdjęcie maszerujących w lesie partyzantów, czy montaż z egzekucji) sprawia wrażenie pointy i zakończenia — gdy tymczasem napis „koniec” zaskakuje. Sytuacje nie tłumaczą się, wiążą sztucznie. (Ze sceny ucieczki z osaczonej drukarni nie wynika, że Artur miał przeciętą drogę odwrotu i musiał zginąć, zgoda Jakuba na — to tragiczne w skutkach — spotkanie z Anną w jasny dzień w modnej kawiarni nie jest przekonywujące). W dziele sztuki każdy szczegół ma swoją wymowę — i oto możemy się zastanawiać czy przypadki w tym filmie mają ukryte głębsze znaczenie, czy jest to tylko niedopatrznie reżysera. Czy pokazane w jednej ze scen kozy na tle których występuje Anna w momencie jej flirtu z Władkiem są symbolem? — Jeśli tak to czy możemy sądzić, że i cała sprawa ogłoszenia wróżki powodującego nakrycie drukarni i końcowe słowa Katarzyny. „Ależ Władku to tylko przypadek”, są nie tylko uspokojeniem Władka i usprawiedliwieniem jego nieostrożności ale i stwierdzeniem wiary w prawo przypadku — w fatalizm?

Nagromadzenie różnorodnych scen powoduje rozwiękłość, osłabienie tempa filmu. Większości dialogów nawet Tadeusz Borowski nie dołował uratować. Słowa są wszędzie. Tam gdzie treść ich może być pokazana i powinna wynikać z sytuacji (dyskusja o potrzebie gazetki zamiast pokazania kręgu odbiorców i ich reakcji), i tam, gdzie już wynika a słowa są tylko niepotrzebnym zdublowaniem (nadmiar dyskusji politycznych, których istotna treść w dużym stopniu jest już pokazana przez obrazy, drobniutki dialog w rodzaju patetycznego stwierdzenia Anny przed zamachem że „idzie wspólną drogą” co jasno wynika z sytuacji). Niestety polskie dialogi z reguły wolą nie ryzykować i nie pozostawiają żadnego pola do popisu inteligencji widza. Przeciwnie — raczej powiedzą o cztery słowa za dużo, aniżeli pozostawiają nieodpowiedzi. Nie doceniają jak wiele wdzięku i piękna osiąga się dyskretnym, celowym gospodarowaniem środkami ekspresji. O ile więcej wymowy — bo tylko to pozostaje trwałe w umyśle widza jako prawdziwe co nie

jest mu kładzione obuchem w głowę, lecz tylko niepostrzeżenie sugerowane, co dopowiedział sobie sam i uważa za swoje własne.

Udźwiękowanie fatalne — chwilami nie pozwalające na zrozumienie słów. Na plus należy zapisać prawie całkowite uniknięcie sentymentalizmu i tylko małą dawkę scen erotycznych.

Najlepszą, najbardziej przekonującą i doskonale graną jest postać Jakuba (Józef Kostecki). Większość pozostałych bohaterów to postacie niezłomne i nieskazitelne, bez wad, którym tylko dobra gra aktorów nadaje wyraz, ratując od pozabawienia cech ludzkich i upatycznienia. Z pośród — równej na ogół obsady — wybija się Lech Madaliński jako Artur.

Wspomina się o „nowatorstwie” tego filmu. Film polski niewątpliwie znajduje się w stadium dojrzwania. Niemniej jednak sądzę że ryzykowne eksperymentowanie przed wykazaniem się opanowaniem klasycznych form jest przedwczesne. Chciałbym aby „Za nami pójdą inni” miało tylko taką się wyrazi, taki poziom artystyczny jak „nowatorski”, Ostatni Etap. Jeżeli „Za nami pójdą inni” pozostawia jednak na widzu wrażenie, że jest to zasługa niektórych scen i aktorów i przede wszystkim faktu, że film ten działa przez pobudzenie osobistych wspomnień okupacyjnych.

Przeprowadzona tu krytyka jest niewątpliwie ostrą. Uważam jednak że naszym wspólnym dążeniem jest osiągnięcie jak najwyższego poziomu filmu polskiego. Droga do tego celu prowadzi nie przez pobłażliwość a przez rzeczową dyskusję (i to dwustronną — z udziałem realizatorów!), jasne sprecyzowanie zarzutów, dotarcie do błędów.

Jeżeli w omawianym filmie zrezygnowano z konstrukcji dramatycznej i pomieszano ujęcia (wprowadzenie spe-akera) należało konsekwentnie zdecydować się na pewną określona formę. Nasuwają się tu dwa przykłady: rozwiązanie w postaci kilku odrębnych epizodów złączonych tylko wspólnym tematem: okupacji („Paiza”) — lub wielki reportaż (łączony kłamraj speakerki) ilustrujący etap po etapie dzieje drukarni na Grzybowskiej („Their is The Glory”). Druga edycja „Zakazanych piosenek” dała nam film niepozabawiony wprawdzie usterek, ale stanowiący dodatni krok naprzód. Pokazano nam tutaj zdjęcia, sceny i epizody (a pokazano nam przecież tylko część nakreślonej taśmy) stanowią niewątpliwie dobry materiał na film. Czekamy na reedycję „Drukarni na Grzybowskiej”. Na film o mocnej treści i jasnej, pełnej wyrazu, koncepcji artystycznej.

LESZCZ

„Społeczność wiejska”

Może najbardziej frapującym i żywotnym tematem w dzisiejszej publicystyce jest zagadnienie wsi. Jest to zjawisko całkiem naturalne i zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że ludność wiejska stanowi dotychczas i stanowić będzie jeszcze długi szereg lat znaczną większość narodu, a struktura ekonomiczno-społeczna wsi jest tylko etapem do zasadniczych przekształceń ustrojowych w kierunku ujednoczenia z gospodarką państwową o charakterze socjalistycznym.

Miałem jednak pisać o „społeczności wiejskiej”, pod którym to tytułem ukazała się na półkach księgarskich przy końcu ubiegłego roku nakładem Polskiego Instytutu Służby Społecznej książka dr. K. Zawistowicz-Adamskiej. Fakt ukazania się książki traktującej o społeczności wiejskiej nie uszedł uwagi „Wsi”, na której łamach w nr 46 z 14 listopada 1948 r. ukazał się artykuł L. Sobierajskiego pod nagłówkiem „Domyślność serca” czyli o metodzie badania wsi. Nim jednak przystąpię do zreferowania i korekty zarzutów autora artykułu pod adresem dr. Zawistowicz, chciałbym pokrótce podać problematykę książki. Pracę swą traktuje autorka jako monografię badanej wsi pod kątem widzenia zmian zachodzących w tejże wsi i jej kulturze pod wpływem emigracji. Wybór padł na małopolską wieś Zaborów w powiecie brzeskim jako typową i o dużym nasileniu emigracyjnym. Treść książki stanowi obserwację i doświadczenia badacza terenowego, formy obcowania ze wsią, praca ludności wiejskiej, „powszedniość i odświętność życia wiejskiego”. Opisy przeżyć autorki często przekraczają ramy kwestionariuszy, lecz przez to ożywają książkę nadając jej poniekąd charakter powieściowy. Czyta się ją

też z dużym zainteresowaniem, przyjemnością i satysfakcją, gdyż oddaje wiernie i prawdziwie życie społeczności wiejskiej w okresie międzywojennym. Potwierdzeniem tego jest również przedmowa Zaborowian, zamieszczona na wstępie omawianej książki, którzy z uznaniem znajdują w niej „żywy obraz życia wsi w czasie przedwojennym”, wyraz dążeń i pragnień ludności wiejskiej, które nie mogły być zrealizowane w ramach ustrojowych i warunkach gospodarczych Polski przedwojennej. Ponieważ zaś, oblicze społeczne, gospodarcze i kulturalne i uległo od wybuchu wojny w 1939 r. zasadniczym przeobrażeniu, więc i praca o Zaborowie straciła na aktualności i stała się w pewnej mierze przyczynkiem do historii wsi polskiej, na pewnym etapie jej rozwoju. To fakt i fakt ten uznaje sama autorka i z faktu tego zdają sobie sprawę sami Zaborowianie we wzmiankowanej już przedmowie. Fakt ten jednak nie umniejsza znaczenia i dużej wartości poznawczej „Społeczności wiejskiej”. Nie możemy mieć pretensji do autorki że nie opracowała zebranych już materiałów na tle badanej wsi.

Jednak czujna i dbająca o poprawną i prawidłową metodę przy badaniu środowiska wiejskiego „Wies” czuwa L. Sobierajski podnosi pretensje do dr. Zawistowicz, że pobłądziła przy badaniu wsi przez zastosowanie metody, którą nazwał „domyślność serca”, a nie użytkowała zebranych w pracy terenowej materiałów pod kątem wytłumaczenia struktury ekonomiczno-społecznej wsi na tle rozprawy się tam wsi walki klasowej. Na skutek tego zasadniczego zresztą mankamentu, książka nie spełnia zdaniem autora swego zadania — uzbrojenia działacza politycznego w potrzebną wiedzę o wsi i nie ma

Antologia poezji ariańskiej

(dokończenie ze str. 7-ej)

Można by się spierać z wydawcą, jeżeli chodzi o celowość umieszczenia w antologii niektórych wierszy, jakie w niej znajdujemy. Wiele jest takich, które nie są charakterystyczne dla żadnego z wybranych działów antologii (dogmatyka i życie religijne, ideologia polityczna - społeczna, działalność oświatowa i literacka, prześladowanie i wygnanie). Pieśń 6 Karmanowskiego, „Pieśń o żywocie chrystiańskim” są żarliwe religijne, ale w stopniu i gatunku tej żarliwości, którą się wykazują współczesne liryki religijne obozu katolickiego. Sporo jest liryk Potockiego, które są wyrazem ogólnochrześcijańskiego, nie zaś specjalnie ariańskiego stosunku etycznego do świata. Można je było wszystkie z powodzeniem pominąć w tej antologii ariańskiej, tym bardziej że nie można przyjąć jako pewnik, by Potocki, katolik - konwertyta, był nim pozornie, pozostając w głębi duszy arianinem. Dużo do myślenia daje rozprawa poetycka Potockiego z wujem (chyba Samuelem Przypkowskim, nie innym Przypkowskim), który pozostał arianinem i poszedł na wygnanie. Jest to zresztą rozprawa przykra, która koliduje z obrazem Potockiego, jaki sobie zdążyliśmy wytworzyć na podstawie jego utworów. Pominąłbym z czystym sumieniem „Ewangelię wyrażającą proceder Rzpłitej z dissidentami” odpis jej widziałem w jednej z bibliotek poznańskich (przed wojną). Utwór ten nie wnosi do antologii poza szablonami myślowo - uczuciowymi. Formalnie jest nieporadny, bo nie dorasta do formy trawestacji stylu biblijnego) błąd ko- rekty na str. 300, gdzie mowa o „tradycji stylu biblijnego w Polsce”, której tradycja jest dość dawna (dobry trawestacja jest np. współczesna „Ewangelię wyrażającą”... tzw. „Ewangelia Opaczna”).

Antologia nie obejmuje oczywiście materiału pełnego. Jan Dürr - Durski wymienia szereg poetów ariańskich, których utwory albo zaginęły, albo nie zostały jeszcze odnalezione. Wątpliwe, czy się da jeszcze wiele odnaleźć po gruntownym zniszczeniu przez Niemców naszych warszawskich zasobów rękopiśmiennych i po rozpraszaniu zbiorów podworskich.

To wszystko, co by się dało powiedzieć o treści antologii. Sprawa układu zebranego materiału w cykle tematyczne była dla wydawcy trudna, jak to stwierdza w przedmowie. Wiele utworów należy rzeczywiście do wszystkich cykli. Granicę między nimi są dość płynne. Była to rzecz zresztą nie do uniknięcia w tego rodzaju pracy, gdzie należało się liczyć z potrzebami w pierwszej linii szkoły średniej, dla której antologia jest zasadniczo przeznaczona.

Wstęp do antologii stanowi odrębną w sobie całość, komentując materiał literacki. Informuje on w sposób zwięzły i należyty o kulturalnych osiągnięciach antytrynitarzy polskich: o ich imponującym szkolnictwie w Pinczowie i Rakowie, o pracy naukowej profesorów szkół: (pierwsza gramatyka polska w Pinczowie, prace naukowe uczniów w Rakowie). Charakter izolacjonistyczny grupy ariańskiej, wyłączonej w końcu ze społeczeństwa polskiego, sprawił, że nie przekazała ona swego poważnego racjonalistycznego dorobku filozoficznego naszemu Oświeceniu. Losem jej było wyrzucić wpływ na kształtowanie się oświecenia w Zachodniej Europie (dodałbym do cennych informacji dra Dürr - Durskiego konseks naszych arian z Hugonem Grotiussem, specem w zakresie prawa międzynarodowego). Za specjalną zasługę wstępu poczytałbym podkreślenie na przykładzie arian jednego z absurdów rozwojowych naszej kultury, polegającego na tym, że w kulturze Oświecenia musieliśmy się zapożyczać właściwie od własnych uczniów. Zasługą wstępu jest również uwypuklenie faktu, że radykalizm społeczny arian nie zdobył się na konkretny program społeczny, pozostając w obrębie humanitaryzmu chrześcijańskiego.

Aparat naukowy wstępu i objaśnień szeroko rozbudowany, nawet z uwzględnieniem „egzotykwów” w rodzaju pracy o losach socynianizmu w Holandii van Slee. Powiedziałbym, że ponad potrzeby szkoły średniej jest to właściwie książka dla ogółu dojrzałego, wartościowa w materiale literackim i w jego opracowaniu.

Juliusz Nowak - Dziński

szans zdobycia szerszego kręgu czytelników. Krytyk przeoczył słowa autorki o częściowym zdeaktualizowaniu się materiałów zaborowskich i nabraniu przez nie cech historycznych. Dużą zasługą autorki jest to, że opisuje wieś tak jak ją widzi, na gorąco przeżywa każdy fakt, stara się myśleć kategoriami badanego środowiska co dopiero jest rekojmia prawdziwości odnoszonych wrażeń, spostrzeżeń i opisu. Wiadomo zaś jest, że walka klasowa na wsi przed wojną nie była uświadamiana przez biedniejszą warstwę ludności wiejskiej. Brak uświadczenia wpływał z dezorientacji politycznej i niedorozwoju kulturalnego ogromnej większości tej właśnie ludności. Walka klasowa nie kształtowała więc stosunków panujących na wsi, nie kształtowała oblicza jej życia. Czy wobec tego słuszne są zarzuty stawiane autorce przez publicystę „Wsi” że nie wykazała walki i różnic klasowych na wsi operując metodą dialektyczną i socjologiczną? Wydaje mi się, że nie.

Sugestie, że dr. Zawistowicz znajdowała się pod wpływem ideologii agrarystycznej J. Cierniaka, pozostają spekulatywnymi sugestiami, to zresztą nie ma wpływu na opis życia wsi, gdyż postawa badawcza autorki jest zupełnie bezstronna, obejmująca jednakowym zainteresowaniem badawczym całą społeczność wiejską czyli wszystkich mieszkańców wsi

L. Sobierajski zarzuca, że dr. Zawistowicz widzi więzi społeczne we wspólnych odczuwaniach i przeżyciach, podobnych reakcjach uczuciowych i poglądach, religii, jednym słowem uczuciach ogólnoludzkich, w których wyraża się prawdziwe człowieczeństwo ludności wiejskiej. A czy te więzi nie mają aktualnej wartości społecznej, czy nie ułatwiają współzycia, nie nastawiają człowieka na bardziej uspołeczniony tryb życia w każdym ustroju? Czy dodatnie cechy charakteru chłopca nie mogłyby stać się cechami narodowymi z pożytkiem dla całego społeczeństwa, jego kultury duchowej, charakteru narodowego?

Jedno pragnąłbym podkreślić, że nie kultura wiejska jak twierdzi autor, spowodowała zastój w ustroju społecznym wsi, a brak oświaty, zły ustrój i zahamowanie rozwoju gospodarczego wsi. A „wszechludzkie wartości” w niezmienionych po zawierusze wojennej sercach zaborowskich ludzi, powodujące, że „po dawnemu życzliwość góruje nad swarami i niesnaskami, po dawnemu przyjaźń jest mocna i trwała, po dawnemu prawość prostuje ścieżki tych, co niebacznie pobłądzili. Po dawnemu jesteście wierni swym ideałom ludowym” — nie zasługuje na potępienie krytyka, bo to są wartości które mogą być wzorem wychowawczym w każdej rzeczywistości społeczno-politycznej.

Bogusław Jędruszek

Popierajcie
Katolicki Uniwersytet
Lubelski

Czytelnik uważa, że...

SZANOWNY KOLEGO
REDAKTORZE!

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI DZIS I JUTRO

Nie lubię się wciśkać między czytelnika, a książkę. Ponieważ jednak słyszałem niejednokrotnie, że czytelnicy sobie wadliwie tłumaczą moje utwory „panteistyczne” chciałbym w celu uniknięcia nieporozumień stwierdzić, co na stepuje:

a) panteizm jest mi jako interpretacja bytu obcy,

b) uważam panteizm za system nie tylko błędny, ale niebezpieczny dla wartości najwyższego rzędu, jakimi są wartości etyczne. Konsekwentnie przemysłowy panteizm siłą rzeczy musi doprowadzić do anulowania wyraźnych norm etycznych lub conajmniej do ich zupełnego rozwodnienia,

c) podzielam jednak pogląd tych, którzy odczuwają współzależności elementów Kosmosu. Uważam się więc nie tylko za obywatela mego miasta, narodu, globu lecz całego Kosmosu i odczuwam współzależność nie tylko w sentymentalnym, lecz etymologicznym (współzależność znaczenia tego wyrazu jak i wyraźną współzależność najdogłębszych elementów, składających się na ład świata.

d) poezja jak wiele innych zresztą rzeczy uważam za sprawę i indywidualną i ponadindywidualną. Pisarz wyraża nie tylko siebie, tak jak uczyony nie tylko siebie wyraża. Obaj mutatis mutandis są wyrazem rzeczy ponadjednostkowych. Metaforycznie upraszczając, można by powiedzieć, że w obu wypowiada się rodzaj ludzki, ten Adam który w każdym z nas tkwi, co bynajmniej nie przekreśla nowych indywidualnych odrębności. Kultura szczególnie jasnowyraza tą ponadindywidualną stroną działalności jej pracowników. Pisarz nie jest dowolny. Poprzez niego działają ponadindywidualne siły. Pogląd mój nie ma pretensji do nowości lub oryginalności — na pewno jednak nie jest panteistyczny. Nie ślucę wnikać w tej chwili w subtelniejsze i głębsze konsekwencje tego poglądu.

Przepraszam czytelników za zajmowanie ich czasu tak indywidualną sprawą jak mój komentarz do własnych utworów. Jeśli pozwoliłem sobie na chwilę wtrącić między nich a książki, to wyłącznie z powodu poczucia odpowiedzialności za słowo pisane, które nakazuje mi w ten sposób nie dopuścić do pomieszania pojęć, na które dziś tak wszyscy często cierpiemy.

Rozumiem, że sprawa mych utworów i ich interpretacji właściwie jest zasadniczo biorąc błahą — bo poczucie odpowiedzialności, o którym wspominałem wyżej, wydaje mi się być rzeczą ważną i dla uspokojenia tego poczucia pozwoleń sobie tych kilka słów skreślić.

Wojciech Bąk

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE

Wydaje mi się, że jeszcze jest zbyt chłodno, by można tłumaczyć porażeniem słonecznym tyle błędów, w tak krótkiej notatce pt. „Nasz ruch wydawniczy” („Dziś i jutro” nr 18 z 8. 5.49. Dla wyprowadzenia z błędów tych Czytelników, którzy czytali ową wzmiankę (a sądzę, że czytało to wielu, bo ruchem wydawniczym interesuje się znacznie więcej osób, niż to się śniło sprawcy zagmatwanych informacji) — proszę o zamieszczenie prawdziwych informacji i omawianych książkach.

A więc:

Gebethner i Wolff wydał najpierw „Dzikowy skarb” K. Buscha, a dopiero później powieść pt. „Ojciec i syn”, którą można uważać za dalszy ciąg „Dzikowego skarbu”. — nie zaś odwrotnie, jak to mylnie podano we wspomnianej już notatce.

Wzmianka o „Sadze o Jarlu Broniszu” wyjątkowo zgodna z prawdą, ale już przy Gołubowie informacja błędna — drugie wydanie dwóch tomów druku.

Najgorzej jednak świntczy — i to już nie tylko o autorze tak świetnych informacji — wzmianka o „Srebrnych orłach” Parnickiego. Kulturalny Po-

lak wiedział z odgłosów w prasie na kilka lat przed wydaniem „Srebrnych orłów” w kraju, że akcja tej świetnej powieści historycznej toczy się w czasach Bolesława Chrobrego (na przełomie wieku X i XI) — na kilka pokoleń przed Bolesławem Śmiałym. Dlaczego informator wydawniczy, który z benedyktyńską procowitością przepisał z notatki Parnickiego na koniec książki całe zdanie: „Powieść... „Srebrne orły” stanowi zamkniętą w sobie całość kompozycyjną” — nie przeczytał owej notatki do końca, gdzie dowiedział by się, że dopiero ewentualny tom czwarty obejmowałby czasy Bolesława Śmiałego i dalszego nasz cicerone edytorski „Srebrne orły” czasem Bolesława Śmiałego poświęcił — tego pewnie on sam nie potrafiłby wyjaśnić. Nie potrafiłby też zapewne wyjaśnić — dlaczego pisze o dawno już na ogół w danych książkach, skoro to dla niego terra incognita. a Ultima Thule, do której z trudem dobrnął, to zerżnięte pierwsze zdanie z notatki Parnickiego.

Zaś za wyjaśnienie, w jakim celu zamieszczono omawianą notę o naszym ruchu wydawniczym — byłbym bardzo wdzięczny.

DO REDAKCJI

(W związku z artykułem Aleksandra Rymkiewicza pt. Jeszcze o librettach” w nrze 17 „Dziś i jutro”).

Cóż zrobić znów „głos w dyskusji”, jaki ośmielił się po raz drugi zabrać, zacząć muszę banalnym i powtarzającym się w każdej niemal wymianie zdań stwierdzeniem: przypisano mi zdania, których nie wygłosiłem i tendencje, jakie mi nigdy w głowie nie zaświtały. A chodzi jeszcze raz o libretto A. Rymkiewicza do „Wesela Figara”.

To nic, że nie widziałem „Wesela” z tekstem Rymkiewicza ani nie czytałem całego libretta. Gdyby całe to libretto było idealnie nienaganne, a tylko urywki cytowane w nrze 12 „Odrodzenia” (A. Rymkiewicz — „Nowe libretto Wesela Figara”) pozostały takimi jakimi są, napisałbym mój list nr 14 „Odrodzenia” — „Milcz serce me różowe”) bez zmiany choćby jednego przecinka. I nadal nie byłoby to „niefrasobliwym pisaniem o całości”, tylko frasobliwym pisaniem o dostępnych mi fragmentach, bo tak się zastrzegłem.

Napisałem wyraźnie: „Stare libretto było złe i nieporadne”. I jeszcze raz: „Stara aria Cherubina z aktu I — jak i pozostałe arie — nużą stokrotnym powtarzaniem”. Tymczasem Rymkiewicz dużo słów zużywa na przeprowadzenie dowodu, że moje zachwyty (?) dla starego libretta są nieuzasadnione, niezgodne ze zdrowym rozsądkiem, dziwne i politowania godne.

Napisałem: tekst arii „winien swymi elementami rytmicznymi przylegać ściśle do rytmu muzyki, a nie czepląc go się mdło akcentami uzupełniającymi słów”. Rymkiewicz nie stara się nikogo przekonać, że jego libretto temu wam runkowi odpowiada, natomiast podaje przykłady złego rozłożenia akcentów w tekście starym, co jest argumentem — przepraszam w stylu: nie wymagam od Jana, bo i Piotr nie potrafi.

O rytmiczności i muzyczności omawianych tekstów dużo więcej mogłem i miałem zamiar napisać oprócz zacytowanego dość arbitralnie brzmiącego zdania. Zrobiła to dużo lepiej Halszka Kołaczowska w 16 — 17 nrze „Odrodzenia” („wokalnosc” poezji) i cieszę się, że mój zagrożony zdrowym rozsądkiem zyskał jednak czyjeś rzeczowe, fachowe poparcie.

Nie mam zamiaru kwestionować siusznosci akcji, rozpoczętej przez Filharmonię Warszawską i wystąpienie moje nie było przedsięwzięcie „w obronie starych libretto”, jak u Iwaszkiewicza. Ale chciałem, żeby było nowe lepsze od starego, bo inaczej nie ma racji bytu, żeby było proste, piękne, w stylu epoki, rytmiczne, zrozumiałe itd. Przykłady błędów, których tyle w króciutkim liście nagromadziłem, nie zatrzymały uwagi Rymkiewicza, który ograniczył się tylko do westchnienia nad „nieszczęsnym zainkiem w czwartej linii”, wytkniętym przez Iwaszkiewicza. Szkoda. Może by udowodnić, że „daleki patrol trąbki wyrzeźbiony nad miastem” jest zgodny ze stylem epoki jak „srebrny deszcz wiosny, świszczący i konwaliowy jak różowe serce” (sic!) Szkoda, że autor nie dostrzegł, iż atakowane są nie konwale, tylko napiszono, pretensjonalny a pustoty w środku wiersz, że niektóre fragmenty tego wiersza są nie do przyjęcia już nie ze względów stylistycznych, ani wokalnych, ani historyczno-filozoficznych, ale wprost gramatycznych:

„I tak dziś jak konwale w ogrodzie, do nóg jej pochylony swe wieńce, bije serce i płoną rumieńce”.

Stylem Rymkiewicza: konia z rzedem temu, co wyjaśni to: „i tak”. Czy serce bije tak jak konwale w ogrodzie? czy... no doprawdy nie wiem. Nie mam nic przeciwko pasterkom, gajkom i barankom. Sam Rymkiewicz pyta przecież z aluzją do moich wypowiedzi: „Skąd ta wyrozumiałość dla motylków skrzydlatych?” a ponieważ do bodrośniej dziwi się tej wyrozumiałości, więc wyjaśniam: bo „motylki skrzydlate” ze starego libretta są w stylu sielanki osiemnastowiecznych, „rzewliwe lzy” i przy gajku nad wodą” z piosenki E. Leszczyńskiego są w stylu tejsze epoki, a nie są w stylu „konwaliowy mróz”, „dziewczyzna zapali konwale”, tylko o te zestawienia — awangardowe, a może mistyfikujące „poezje”?

„Zartobliwie marszowy” charakter arii Figara z I-go aktu (nazwany tak przez Kołaczowską) znikł zupełnie w przeróbce Rymkiewicza. Została znowu pretensjonalna przemowa pełna zmagmatowanych, patetycznych słów, smęt na, tęskna — śpiewać ją trzeba z zapatrzonym się „hen w dal”, w „nastroju: tak, tak, ja to już przeżyłem, no cóż, tak trzeba... Aria Figara ze sce-

ny 2 aktu I-go nabiera pewnych rumieńców po przeczytaniu monologu Beaumarchais w przekładzie Boy’a bez niego jest ciężka, wysiłona i pełna mędrkowania; refren pierwszej i drugiej strofki: „Z hrabiowskich sal, hej kurierze w dal”, dopiero przy wielkim przeskoku myślowym, przy wielkiej zdolności „dopowiedzeń międzysłownych” u słuchacza, znajduje swoje uzasadnienie; również strona wokalna w tej arii sporo pozostawia do życzenia.

Nikt dotychczas nie interesował się librettami operowymi (operetki miały większe szczęście — bez szukania daleko: aktualizacje i przeróbki Tuwima). Nikt pisząc sprawozdanie z przedstawięcia operowego nie wspominał słowem o tekstach. Do zaniedbanej grządki w wielkim ogrodzie sztuki biorą się obecnie poeci z prawdziwego zdarzenia, a krytyka ma im pomóc w twórczym uświadomieniu sobie pewnych postulatów, norm, granic, wymagań warunków.

Czy naprawdę trzeba być „zarażonym złą wolą”, żeby chcieć stanąć między tymi, co krytykują? To ostatnie pytanie — mam nadzieję — ma wystarczająco powszechny wydźwięk, aby usprawiedliwić te momenty powyższego listu, które wydawać się mogły obroną wyłącznie osobistą.

Włodzimierz Krzemieński

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

W numerze 14-tym „Dziś i jutro” (10.IV.1949 r.) przeczytałem w wielkim zaciekawieniem dwa artykuły: „Od katechumenów” oraz „Różne Drogi”. Trafiły mi one wprost do serca, ponieważ sam wiele razy myślałem o tych sprawach, które są tematem wyżej wymienionych artykułów. Jestem jeszcze bardzo młody, uczęszczęm do dziewiętej klasy, ale w moim sercu odbyło się już wiele walk ideologicznych. Teraz z każdym dniem coraz bardziej skłaniam się ku katolickiemu ruchowi postępowemu, ale droga, którą do niego doszedłem nie była wcale łatwą. Na szczęście spotkałem w życiu ludzi takich, którzy wskazywali mi źródła prawdy. Znalazłem ją i jestem szczęśliwy. Iluż jednak kolegów błąka się w uliczkach bez wyjścia. Położenie nas, młodzieży jest trudne. Zaledwie wychodzimy z dzieciństwa, a już musimy mieć pewne przekonania, odpowiedzieć się za tym, czy innym światopoglądem. Zaczyna się szukanie rozpaczliwe i tragiczne. Wielu nie wie wcale, gdzie szukać rozwiązania trapiących ich zagadnień. Pustka... Straszliwa pustka. Gdyby tak wszyscy mogli zobaczyć, co się wtedy dzieje w duszy młodzieńca.

Inna część młodzieży boi się w ogóle długotrwałych poszukiwań ideologicznych. Jedni będą „psioczyć” na marksizm, nie mając o nim zielonego pojęcia i powtarzając zarzuty co najmniej śmieśne, drudzy będą udawali marksistów, również niewiele wiedząc o marksizmie, trzeciej zaś grupie wszystko jest obojętne, byle tylko przejść jak najwygodniej przez życie. Tych ostatnich niestety jest dużo, na pewno więcej, niż to zdaje się wielu poważnie myślącym ludziom.

Cz. B., Płock.

Po ukazaniu się mojej książki „Przemarsz przez piekło”, obrazującej dni zagłady Staromiejskiej dzielnicy, wiele osób zwróciło się do mnie z zapytaniami o zaginionych lub poległych w powstaniu.

Na niektóre z nich nie umiem odpowiedzieć, więc starym zwyczajem zwracam się do naszych Sz. Czytelników.

Muszę stwierdzić, że na wiele zapytań nasi Czytelnicy udzielili wiele cennych informacji, w ten sposób oddali wielkie usługi rodzinom poległych lub zaginionych.

Pani Janina Borowińska, Warszawa, Grzybowska 43, zapytuje o swoją siostrę Zofię, pseudonim „Magda”, zginęłą na Mokotowie 26 września 1944 r. na ul. Wiśniowej nr 7. Matka prosi o wszelkie szczegóły i stwierdzenie śmierci.

Pani Krystyna Prutkowska, Warszawa, Żolibórz, ul. Dygasińskiego 22, prosi o szczegóły śmierci łącznika „Florka”, Anatol Inwald Howicki, który miał zginąć przy wiazie kanałowym na Placu Krasiańskim w czasie ewakuacji oddziałów powstańczych ze Starówki.

Pani Jadwiga Wegenko, Trzebnica pod Wrocławiem, ul. Zymierskiego 14, zapytuje o swojego syna Andrzeja, noszącego pseudonimy: „Zapalenie”, „Andrzej Zalewski”, walczą w plutonie „Mieczków”, miał zginąć na Stawkach w dniu 11 sierpnia 1944 r. Matka zapytuje skąd wiadomość, że zginął i gdzie jest pochowany?, czy był ekshumowany?, w ogóle prosi o wszelkie wiadomości.

Pan Mikołaj Tumanow, Warszawa, Grochów, Poligonowa 18. Zapytuje o dwóch swoich synów, poległych w powstaniu.

Eugeniusz, lat 19, pseudonim „Książka” miał zginąć na Starówce, drugi Włodzimierz, pseudonim jego ojciec nie zna. Był ciężko ranny w brzuch na Mokotowie. Dom, w którym leżał został wraz z rannymi podpalony przez Ukraińców. Ojciec prosi o wszystkie wiadomości.

Pani Zofia Aleksandrowiczowa, Warszawa, Towiańskiego 9 m. 10, zapytuje o swojego syna Jerzego, pseudonim „Witold” z batalionu im. Łukasiewskiego, zgrupowanie „Sosna”. Matka nie ma dotąd żadnych wiadomości mimo intensywnych poszukiwań.

Pan Stefan Bednarski, Sopot, ul. Nie-wiadomskiego 4, zapytuje o swego syna Jerzego, lat 20, pseudonim „Artur”, z kompanii harcercskiej batalionu „Gwastaw”.

W dniu z 15 na 16 sierpnia pełnił służbę od kilku dni na placówce, w ruinach pałacu Mniszków (Senatorska, Podwale) i tam został ranny w brzuch. Dr Morwa dokonał operacji, która się udała. Później leżał w piwnicy domu Kilińskiego 3. Przy odroście powstańców kanałami, decyzją dra Morwy musiał być pozostawiony wraz ze swoim towarzyszem „Kresowiakiem”, z oddziału Armii Ludowej. Odtąd wszelki ślad o nim zaginął. Natomiast powstaniec „Kresowiak” ocalał. Widziano go i rozmawiano z nim przy wkroczeniu oddziałów Wojska Polskiego do oswobodzonego Krakowa.

Ojciec prosi wszystkich kolegów o wiadomości o swoim synu, a przede wszystkim chodzi mu o nawiązanie kontaktu z powstańcem „Kresowiakiem”

Z koleżeńskim pozdrowieniem
Stanisław Podlewski

SPROTOWANIE

W notatce K. W. Zawodzińskiego „Przyczynki do życia literackiego w Polsce”, do której wkraść się kilka dość przykrych błędów literowych i również przy łamaniu wypadł ustęp następującej treści (po słowach „starszej osobie”):

Wracając do tak fałszywie zrozumianych w nrze 11 „Kuźnicy” mych zdań, stwierdzam, że przywołując do poszuwania dziedzictwa kulturalnego przeszłości, wypowiadam tylko zasadniczą wytyczną pracy kulturalnej w Związku Radzieckim. Stwierdzenie zniszczeń po katastrofie nie jest równoznaczne z niewiarą w odbudowę jeszcze wspaniałych gmachów. Nikt nie podaje w wątpliwostkę zbarbaryzowania Europy po upadku świata antycznego, ale nikt rozsądny nie będzie zaprzeczać, że Europa nowożytna potrafiła następnie prześcignąć starożytność w każdej dziedzinie. Wytknięcie błędów pisarzowi nie jest równoznaczne z jego dyskwalifikacją ani z atakiem na pismo którego jest współpracownikiem; tym bardziej, jeśli chodzi o „Kuźnicę”, zawsze będę wspominać z wdzięcznością zwłaszcza lata 1946 i 1947, gdy tak gościnnie otwarły dla mnie były jej łamy.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 50 złotych kwartalna 130 złotych

B 77033